Dwa romanse Walterscottowskie

J. U. Niemcewicza „Jan z Tęczyna“ i F. Bernatowicza „Pojata“.

Błogosławiony wpływ romansu Walterscottowskiego na naszą twórczość rodzimą, powieściową, okazuje chwile natężenia i spadków. Wszelako z obfitością produkcyi w dobach wzmagania się wpływu nie zawsze idzie w parze jej wartość, raczej obfitość jest wskazówką, zapowiedzią, że ukaże się zjawisko niepowszednie. Arcydzieła zbliżone mniej lub więcej do rodzaju Scottowskiego i z niego w znacznej mierze wyrosłe mamy dwa tylko: „Pana Tadeusza“ Mickiewicza i Sienkiewicza powieści historyczne, oddzielone od siebie półwiekowym okresem czasu — zajęcie się najżywsze romansami Scotta przypada u nas na dobę bezpośrednio niemal przed pojawieniem się „historyi szlacheckiej“, jakoteż potem znów na czasy przed ukazaniem się cyklu Sienkiewiczowskiego. Zbyt skwapliwe jednak wysnuwanie wniosków byłoby niebezpieczne. „Pan Tadeusz“ bowiem wolny jest od wszelkiego wpływu atmosfery Walterscottowskiej w Polsce, zrodził się niezależnie od niej, wprost (oczywista z wszelkiemi możliwemi zastrzeżeniami) pod bezpośredniem oddziaływaniem Scotta. Inaczej ma się rzecz z „Trylogią“. W niej odbił się wpływ romansów Scottowskich, płynący wprost ze źródła, ale i z „Walterskotacyi“ obcych i naszych, nasze zaś łączą się łańcuchowo z pierwszemi próbami z trzeciego dziesiątka lat XIX. wieku.

Nadzwyczajne zainteresowanie się dziełami autora „Waverleya“ i samą jego osobą objawiało się przed rokiem 1830-tym w sposób różnorodny: nietylko tłumaczono romanse jego na wyścigi, ale i czasopisma współczesne zarzucone wprost były rozlicznemi notatkami o znakomitym pisarzu; nietylko czytano go, ale

i wystawiano na scenie amatorskiej w przeróbkach; nadto, co najważniejsze dla nas, autorowie nasi poczęli tworzyć romanse na sposób Scottowski.

W rzędzie naśladowców „mistrza z Abbotsfordu“ jedni z najpierwszych stanęli — jak wiadomo — J. U. Niemcewicz i F. Bernatowicz, obaj już z tradycyą powieściopisarską, Niemcewicz jako autor „Dwu Sieciechów“ i „Lejbe i Siory“, Bernatowicz jako twórca „Nierozsądnych ślubów“. Nie o przysporzenie polskiemu piśmiennictwu romansów szło co prawda Niemcewiczowi, gdy pisał „Lejbe i Siorę“, lecz o coś zupełnie innego: pragnął wypowiedzieć swe poglądy na jeden z ważnych problemów społecznych i oddziałać w odpowiednim duchu na opinię publiczną; podobnie, gdy pracował nad „Dwoma Sieciechami“, myślał tylko o tem, by dać pożądany kierunek poglądom współczesnego pokolenia na kwestyę postępu etycznego, moralnego i „obywatelskiego“ w swem społeczeństwie, a własny optymizm uzasadnić — kontrastami, z których składa się wątek osnowy „romansu“. Naprawdę kompozya „Sieciechów“ fabułę romansową wykluczała, „Lejbe i Siore“ jednak to równocześnie dzieje dwojga kochanków, wszelako tak pomyślane i tak przeprowadzone, by tendencyę mogły wesprzeć i unaocznić. I to się autorowi powiodło. Po schemat osnowy, wyraz i barwę uczuć poszedł — nie pierwszy — do Russa.

U autora „lettres de deux amants“ zaczerpnął natchnienia również Bernatowicz, stylizując „listy dwojga kochanków“, ale jako główny wzór obrał sobie świadomie genialny twór Goethego, acz w fabule, w intrydze nie stronił również od pomysłów znanych z romansu przygód i jego potomstwa. Z publicystyką tylko nie miał nic wspólnego.

Obaj tedy, i Niemcewicz i Bernatowicz, pierwszy w „Lejbe i Siorze“, drugi w „Nierozsądnych ślubach“ dali typ powieści sentymentalnej, ale zasadniczo różny w intencyi i w wykonaniu. Pierwszy sentymentem się posłużył dla celów *par excellence* publicystycznych, drugi miał tę ambicyę, by nie tylko namiętne uczucia miłosne odtwarzać, ale i rolę ich w życiu określić i znaleźć dla nich wyraz zewnętrzny. Słowem inny był cel obu powieściopisarzy.

Obaczmyż, jakie zajęli stanowisko, gdy znów mieli się zetknąć na innem polu, t. j. na polu powieści Walterscottowskiej.

O swym punkcie widzenia nie zaniedbuje nas Niemcewicz powiadomić w przedmowie. „Romans historyczny — poucza — bierze za cel obraz towarzystwa narodu jakiego w wybranej przez

autora epoce. Pisarz, wchodząc w nim w szczegóły zbyt drobne dla dziejopisa, wystawia nam ludzi wszelkiego rzędu i stanu. Wszystkie dramma tego osoby, nie tylko czynami, mową nawet powinny dać nam poznać, jakiemi były towarzystwo, polityczne kraju położenie, jego oświata, opinie, namiętności, przesądy nawet; powinny nas przenieść w owe czasy, pomiędzy siebie, słowem dać nam żyć i obcować z sobą.“ Historya bowiem „wystawia nam ważniejsze królestw wypadki, zapisuje rozkazy monarchów, czyny przedniejszych podwładców i wodzów, poruszenia na dworach monarchów; zawsze na szczycie wysokości: nie zniża się ona do prywatnych towarzystw, nie wchodzi nigdy do poziomych ludu lepianek“, romans historyczny natomiast jest „uzupełnieniem objaśniającem surowe i poważne dzieje“.

Wiadomo nam, że definicya, czem jest romans historyczny, co dać powinien i jaki jego stosunek do historyi, nie jest własnością Niemcewicza, owocem jego przemyśleń, lecz raczej streszczeniem uwag Feliksa Bodin'a, pomieszczonych w „Revue Encyclopedique“ z r. 1823, a podanych w tymże roku w przekładzie w „Astrei“. Ale o to w tym wypadku mniejsza, dość, że Niemcewicz pogląd Bodin'a na istotę i cel romansu historycznego przyjął za własny, a co dla nas szczególną ma wagę, że teorya romansu Bodin'owska a więc i Niemcewiczowska wysnuta została ze studyów nad romansami Scotta [1]). Pragnął więc autor Śpiewów stworzyć romans Walterscottowski, wierząc, że „rodzaj ten z pożytkiem przyjemność i zabawę połącza“. O pożytku tedy Niemcewicz nie zapominał.

Że u Bernatowicza punkt wyjścia był analogiczny, że i jemu przyświecał wzór, jaki znalazł w romansach autora „Ivanhoego“, to nie ulega najmniejszej wątpliwości — świadczy o tem sama powieść, a wykazywanie prawdziwości tego twierdzenia byłoby w tem miejscu bezcelowe. Przystępując do pisania powieści sentymentalnej, obaj autorowie mieli zamiary najbezwzględniej różne, gdy pomyśleli o romansie historycznym, wyszli z teoryi zgodnej, acz może nie równie ściśle sformułowanej.

Chodziłoby o to, jak teoryę wprowadzili w życie, czy spełnili wszystko, czego żądała, lub czy nie wyszli po za nią.

Niemcewicz, jak widzieliśmy, postanowił odtworzyć „towarzystwo, polityczne kraju położenie, jego oświatę, opinie, namię-

[1]) Bronisław Czarnik. Spór literacki o „Jana z Tęczyna“. Kartka z dziejów krytyki w Polsce. Pamiętnik literacki, Lwów, 1905—6.

tności". Tak twierdził, i przyznać trzeba, czynił wszystko, co — jak sądził — czynić należy, by zadaniu sprostać. „Towarzystwo" pokazał nam o tyle, że nagromadził osób z różnych stanów i zawodów, począwszy od głów koronowanych, wprost mnóstwo [1]), chciał dać obraz społeczeństwa. Do „lepianki" tylko, jeśli wprowadził czytelnika, to na chwilę jeno, może dlatego, że ówczesna wiedza historyczna nie wystarczała do odtwarzania życia w lepiankach XVI. wieku.

Zato obrazów „politycznego kraju położenia" nam nie poskąpił, co więcej objął tak obszerny kompleks tych spraw, jak WScott nigdy nie czynił. Bo romans informuje czytelnika i o sporze z powodu małżeństwa króla z Barbarą Radziwiłłówną i o całej sprawie aktu Unii lubelskiej i o zatargu i wojnie z rycerzami mieczowymi i o ówczesnych walkach z Tatarami i o stosunkach politycznych z mocarstwami ościennemi i o położeniu politycznem Szwecyi w związku ze stanem w Polsce. Dosłownie, jakby się lękał Niemcewicz, by żadnej z ważnych spraw państwowych ówczesnych nie pominąć. Tło polityczne jest tak niesłychanie rozległe, że przyćmiewa sobą to, co w zakres jego nie wchodzi.

Czy zobrazował „oświatę" ówczesną, objawy kultury wieku złotego? Z tego problemu postanowił wybrnąć ryczałtowo. Zachęcony przykładem Scotta, który dla pełności tła lubił czasem pokazać jednego lub kilku ze znakomitych współczesnych dobie dziejowej poetów lub przynajmniej o nich wspomnieć, wprowadził i Niemcewicz szereg pisarzy wieku złotego do swej powieści. Ale jakże inaczej to uczynił. W „Kenilworth" n. p. Leicester zwraca się do Spencera i Szekspira po posiedzeniu rady państwowej z uprzejmemi słowy, a potem broni widowisk teatralnych szekspirowskich wobec Elżbiety, kiedy wpłynęła do niej prośba o zakaz tych widowisk (bo publiczność przestała uczęszczać na widowiska z niedźwiedziami). Możeby jednak wymowa Leicestra nie wystarczyła — na szczęście Raleigh deklamuje słowa Oberona szekspirowskiego z pochwałą Elżbiety. Petycya rzucona do rzeki... Świe-

[1]) Zrobił mu z tego surowy zarzut Tytus Dzieduszycki, który pod pseudonimem Philopolskiego umieścił w „Rozmaitościach" lwowskich z dnia 8 i 13 lipca swe „Uwagi nad Janem z Tęczyna przez J. U. Niemcewicza". Artykuł cały przedrukował Walenty Chłędowski na końcu broszury polemizującej z wywodami Dzieduszyckiego, a zatytułowanej „Rozbiór uwag Philopolskiego nad Janem z Tęczyna, powieścią historyczną J. U. Niemcewicza przez ......", we Lwowie, 1825.

tne pokazanie Szekspira na tle czasu, jego stosunku do współczesnych wyobrażeń i upodobań. Artystyczny rzut, wielka postać ledwie się zarysowała. już znika, ale czytelnik czuje, że współzawodniczkę, choć nierówną, może ona tu mieć jedną tylko — w osobie królowej. Niemcewicz chce od razu z wielkich ludzi (pisarzy) XVI. wieku ukuć kapitał, odtworzyć „oświatę“ kraju. Więc wprowadza — na uczcie u króla — Mikołaja Reja, Janickiego, Kochanowskiego, Orzechowskiego, Górnickiego, Paprockiego, wszystkich równocześnie, każe im rozmawiać ze sobą i każdemu z nich charakteryzować się własnemi słowami, lub też pozwala wnioskować ze słów dyalogu, jakie każdego z nich znaczenie. Prócz tego, w dyalogu właśnie, wymienia ustami rozmawiających „opiekuna muz“ biskupa Maciejowskiego, Krzyckiego, Kromera. Czegoż się dowiadujemy o zebranych? Oto, że Rej nie znosi zbutwiałych, zgniłych ksiąg, że nie cierpi pracy, tylko taką, która go bawi, i wtenczas, gdy ma wenę, a w takiej chwili potrafi w godzinie i paręset wierszy napisać, nadewszystko jednak, że jest niesłychanym żarłokiem. O Janickim informuje się czytelnik, że pisze po łacinie na wzór Tybulla, Katulla i Propercyusza, składając rymy „smutne i rzewliwe“, nadto, że Bóg mu dał „wątłe duszy pokrycie“, o Kochanowskim, że „hymny Dawida wznosi do Boga nieznanej dotąd piękności rymem; tym dzieła rycerzy naszych opiewa...“ i t. d. Czyli, że cały pomysł w wykonaniu chybił — przesunęły się bowiem przed nami sylwetki, nakreślone zbyt grubymi rysami, nic nowego z sobą nie wniósłszy. Czytelnik nie nabiera bynajmniej wyobrażenia, co jest istotą każdej z wprowadzonych postaci, czem są one dla Polski współczesnej i jak współcześni na nie patrzą. Pomijamy już to, że wprowadzonym figurom brak życia.

To też szczęśliwszym był Niemcewicz, gdy pokazał nam Kochanowskiego powtórnie w jego dworze. I tam wprawdzie jest on mocno stylizowany („natychmiast... piękne rymy po łacinie deklamować zaczął“), ale przynajmniej dowiadujemy się czegoś o jego filozofii życiowej, poznajemy, jak patrzy na ówczesne położenie Polski. W albumie znakomitości przedstawił się znacznie niklej.

„Namiętności“ i „opinie“ odtworzył Niemcewicz przeważnie tylko polityczne, w cząstce religijne, ostatnie jednak stanowczo w mierze za drobnej, by mogły nam dać zrozumienie ducha epoki. Natomiast o rysach obyczajowych nie zapomniał. Prawda, że są to rysy głównie z jednego zakresu. Jest bowiem i przyjęcie w domu magnackim (przez cały dzień do północy) i obiad u magnata,

z pilnem baczeniem, by żadnego szczegółu znamiennego nie opuścić (odgłos trąb, wnoszenie przez żołnierzy nadwornych srebrnych mis, wchodzenie gości według dostojeństw, umywanie rąk, znów kotły i trąby, symfonia orkiestry, śpiew, potrawy, zdrowia, przyjmowanie panów braci), jest i uczta na zamku królewskim ze zwróceniem uwagi na podobne szczegóły, i uczta u Kmity (tu przyłącza się huk dział, strzelb), i iluminacya w ogrodzie Kmity, ale są i zabawy rycerskie młodzieży, pasowanie na rycerza, jest także opisany sposób przyjmowania posła, z życia rodzinnego zaś obrzęd zaręczyn z oracyami; po epicku traktował Niemcewicz strojenie się wojewodziny. Szczególnie chętnie, z lubością, wylicza kilkakrotnie potrawy, jak to czynił (także często) i WScott. Więc dowiadujemy się, co było na śniadaniu u Tęczyńskiego, co u Kochanowskiego na wieczerz, zaznajamiamy się z wymyślnemi potrawami na uczcie w namiocie u hetmana Mieleckiego, a szczegółowo z daniami ozdobnemi na zaręczynach Zofii Tęczyńskiej. W ostatnim wypadku kierował się jednak Niemcewicz celem ubocznym, potrzeba mu było pretekstu do mowy Stańczyka.

Z wierzeń i przesądów ówczesnych niewiele poznajemy. Słyszymy jednak o wierze w astrologię, we wróżby i czary, widzimy Jagusię, jak w czasie burzy dzwoni z całej siły, moknąc do nitki, a Teodorową, jak kadzi po izbie święconemi ziołami.

Jeśli przyjrzymy się teraz temu, co Niemcewicz nam dał, zauważymy bez trudu, że sędziwy autor pojął zadanie swoje faktycznie w odmienny sposób, jak WScott, przedmiot bowiem, materyał historyczno-polityczny i obyczajowy, mimo wielkiej jego różnorodności, zacieśnił. Mianowicie. wciągając mnóstwo spraw, w szczególności politycznych, rzucił światło tylko na te z pośród nich, które świadczyć mogły o świetności, potędze, bogactwie państwa i społeczeństwa polskiego. Taką sprawą była unia z Litwą, zatarg z rycerzami mieczowymi z szczęśliwem dla Polski rozwiązaniem, stosunki polityczne z Szwecyą, walka z Tatarami. O świetności kultury Polski miały mówić nazwiska znakomitych pisarzy, o bogactwie — zastawy przy ucztach, stroje i t. d. Inne strony obyczajów, życia domowego, zostały niemal pominięte.

Ale i na tem, cośmy uwydatnili, nie koniec. Niemcewicz bowiem skwapliwie wprowadzał do swej powieści wszystko, co tylko mogło okryć blaskiem minione wieki Polski, i dlatego to, nie dbając o związek z akcyą, roztoczył jeszcze dodatkowo przed oczyma czytelnika obraz przepychu koronacyjnego (koronacya Barbary), obraz hołdu książąt pruskiego, pomorskiego, kurlandzkiego

i wojewody wołoskiego podczas koronacyi, nie zapomniał o hołdzie pruskim w czasie uroczystości unii lubelskiej, którą oczywista także przedstawił, odmalował wjazd tryumfalny księcia Romana Sanguszki po wzięciu Uły. Patrzcie, jak byliście wielcy, sławni, potężni, waleczni, zamożni, ukształceni, jak obcy was szanowali i lękali się — oto prawdziwa myśl przewodnia romansu Niemcewicza. Że szlachcic polski mógł sięgać po rękę królewny obcego królestwa, to chyba również miało być świadectwem dostojeństwa Rzeczypospolitej w onej dobie. Słowem romans miał być nadewszystko ugloryfikowaniem przeszłości państwa, cel, jakiego Scott nigdy sobie nie oznaczał, jakkolwiek na przeszłość swej ojczyzny patrzył również z dumą i miłością.

Obok tego jednak, jak w „Dwu Sieciechach", jak we wszystkich niemal utworach, przyświecał Niemcewiczowi cel publicystyczny w ścisłem tego słowa znaczeniu. Mąż stanu, moralista, pragnął napiętnować niektóre wady, wspólne przodkom i współczesnemu mu pokoleniu, i korzystał z każdej sposobności, by to uczynić. Przez usta Jana z Tęczyna występuje więc przeciw zawiściom między możnymi, przez usta Stańczyka przeciw „rozwiązłej swywoli", przeciw zbytkom („co najgorsze..., iż się te zbytki i do mniejszego stanu braci naszej przenoszą...; już i w szlacheckich domach znikają tkane obrusy..."), wprost od siebie zwraca się przeciw używaniu obcej mowy („dziś lube damy nasze mówią wszystkimi językami, prócz swoim własnym"), podnosi znaczenie rolnictwa i rękodzieła (w rozmowie Tęczyńskiego z królem Erykiem), ubolewa nad tem, że „ważności i korzyści" portów morskich „nigdy Polacy dostatecznie cenić nie umieli" (II., VII., str. 209, wyd. z r. 1886), zachęca nawet do spisywania pamiętników (s. 245).

Tym materyałem historyczno - polityczno - publicystycznym Niemcewicz operował inaczej jak WScott (u ostatniego dążności publicystycznych wogóle niema). Autor nasz najchętniej posługuje się relacyami, opowiadaniem którejś z osób, używa zatem metody przedwalterscottowskiej, Scottowi albo obcej, albo stosowanej przezeń wyjątkowo, w szczególności wówczas, gdy chodzi o rzut oka na wypadki wstecz. (Jednym z typowych przykładów mogłaby tu być opowieść Quentina Durwarda w rozmowie z Ludwikiem Lesly Balafré, r. V.), Niemcewicz zaś korzysta z pośrednictwa wprowadzonych figur w kreśleniu *współczesności*. Więc o sprawie małżeństwa króla z Barbarą dowiadujemy się z ust wojewody Tęczyńskiego, o stosunkach politycznych Polski z sąsiadami — z ust Tarnowskiego i Zamojskiego, o takichże stosunkach Rzeczypospo-

litej z Szwecyą i o położeniu politycznem Szwecyi — z dłuższego wywodu ks. Warszewickiego, o wyjeździe Bony — z ust kasztelana Boratyńskiego; nawet obrazy walk z Tatarami kreślą nam bądźto „jedna ze starych niewiast“, bądź hetman Tarnowski, bądź jeden ze sług Zborowskiego, a z bezpośrednim obrazem tych walk, rzuconym wprost od autora, spotykamy się naprawdę raz tylko (118 n.). Tak samo ma się sprawa z zatargiem Polski z rycerzami mieczowymi. Tęczyński *uważa* wojenne przygotowania i *dowiaduje się*, że W. Mistrz gotuje się do odporu, potem mówi o tem król i ten zapowiada marsz na Inflanty celem ukarania Zakonu, z kolei o sprawie tej pisze cesarz Ferdynand do króla, a dopiero scenę wypowiedzenia wojny i przeproszenie króla przez W. Mistrza oglądamy bezpośrednio, przyczem jednak autor nie zaniechał podać pod 1) 2) 3) warunków, na mocy których król zgodził się Zakonowi przebaczyć. Natomiast uroczystości unii lubelskiej i to, co je poprzedzało, mają w nas świadków bezpośrednich.

Tak u Niemcewicza. Inaczej — w części przynajmniej — w „Pojacie“.

O ile chodzi o materyał, ten pod pewnymi względami jest ciaśniejszy w „Litwinach w XIV. wieku“, mianowicie mniejsza tu rożnorodność i obfitość spraw natury historyczno-politycznej. Natomiast, o ile weźmiemy pod uwagę zamiar główny autora, zaprzeczyć się nie da, że ważkością swą góruje on nad myślą przewodnią, która przyświecała Niemcewiczowi. Tym zamiarem głównym było, jak to dawno już wskazano, „wystawienie tamtoczesnej Polski, Litwy przechodzącej w cywilizacyę zachodnią, skonu politeizmu“ [1]). Że zamiarowi nie odpowiedział w pełni skutek, to rzecz inna, ale pomysł ujęcia i nakreślenia obrazu doby przejściowej, w której zamiera jeden świat wyobrażeń, jeden typ zbiorowości, a rodzi się drugi, był śmiały — i wylęgł się z lektury romansów Scotta („Ivanhoe“!). Stamtąd też, z romansów Scottowskich, trzeba wywieść koncepcyę rozsnucia zasadniczego problemu na tle zatargów, podstępów, walk dynastycznych. Walki owe miały charakteryzować wiek, wyobrażenia władców i ich otoczenia. Prócz tego celem ich było wnieść do romansu żywioł rozmaitości i nadzwyczajności (niespodziane przewroty, więzienie książąt, szukanie pomocy, odsiecz), w co obfituje romans Scotta („Q. Durw.“, „Abbot“, „Kenilw.“ i i.). O tło obyczajowe — zaprzeczyć się nie da —

---

[1]) Michał Grabowski. Literatura i krytyka. Wilno, 1840. T. II., str. 18.

dbał Bernatowicz i to w większej mierze, niż Niemcewicz: dał obraz weselnych obrzędów na Litwie (II. 19 n., wyd. z r. 1898), składania przedślubnych ofiar Zniczowi (I. 164 n.), obrzędów pogrzebowych (II. 79 n., III. 69), dożynek (III. 91 n.), swatów (III. 96 n.), jakoteż obrzędów ofiarniczych i innych kapłańskich. Nie jest to obyczaj dnia codziennego, raczej odświętny, ale o odtworzenie pierwszego nie łatwo też było.

Spraw politycznych (poza małżeństwem Jadwigi i sporami dynastycznymi na Litwie) Bernatowicz nie czynił *przedmiotem powieści,* ale nie znaczy to, by z dzieła swego je wykluczył. Przeciwnie — i to właśnie zupełnie zgodnie ze swym mistrzem. WScottem — położenie kraju, rzuty oka na dzieje, na wydarzenia historyczne, traktował jako osobne partye, jakgdyby oddzielne, wstawione szkice. Kilka przykładów z romansów Scotta. Więc w cytowanym „Q. Durwardzie" w rozdziale I., z tytułem „The Contrast", a rozpoczynającym się od ważkich słów: „The latter part of the fifteenth century prepared a train of future events...", kreśli Scott stosunki polityczne we Francyi z końcem XV. wieku, zaostrzone stosunki między Ludwikiem XI. a Karolem burgundzkim, daje charekterystykę jednego i drugiego władzcy, poczem dopiero jesteśmy świadkami przybycia Quentina do Plessis i jego rozmowy z rzekomym kupcem. W „Old Mortality" na czele (w r. II.) charakterystyka czasów ostatniego Stuarta, ogólny obraz położenia Szkocyi, poczem (w r. XXXVII.) po powołaniu się na przywileje powieściopisarza, któremu wolno nie przestrzegać zasady jedności czasu, znów zarys wewnętrznego ukształtowania się stosunków po rewolucyi („Scotland had just begun to repose from the convulsion occasioned by a change of dynasty, and. trough the prudent tolerance of King William, had narrowly escaped the horrors of a protracted civil war..."). Tu i tam ton historyka. dającego szerokie rzuty. Od szkicu, charakteryzującego dobę pod koniec rządów Ryszarda I., rozpoczyna się romans, któremu „Pojata" szczególnie wiele zawdzięcza, „Ivanhoe". I t. d. Przyczem Scott wielokrotnie zaznacza, że jest powieściopisarzem, nie historykiem, że chodzi mu o tło, nie o szczegóły wydarzeń.[1]

[1] „It is not our intention to detail at length incidents which may be found in the history of the period..." (O. Mort. XXVI.), „It is not our purpose to intrude upon the province of history..." (Waverley, LVII.) i t. d.

Obok tego jednak rozsnuwa autor „Waverleya“ wątek tych wydarzeń politycznych, tego kompleksu, na którym wspiera się, z którym się łączy akcya romansu, w dyalogach i w poszczególnych scenach — istotnych, składowych częściach osnowy, antecedencye zaś wkłada najchętniej w usta jednej z osób.

Całą tą techniką posłużył się Bernatowicz. Więc w rozdziale I. „Sen“ mamy rzut oka na dzieje Litwy, tło historyczne. W toku romansu spotykamy się z partyami jakby interpolowanemi, kreślącemi obraz położenia kraju, rozwoju wydarzeń historycznych — w formie wykładu autora (II. 150 n.: stan socyalny Litwy za Jagiełły, III. 46 n.: walki Jagiełły z Kiejstutem; IV. 74—5: wojska polskie na Litwie, położenie Krzyżaków); obok tych „szkiców historycznych“ dyalog, oświetlający sprawy polityczne, pozostające w bezpośrednim związku z akcyą (I. 151 n.: sprawa zamęścia królowej — dyalog wielu osób, znanych i nieznanych, celem większego ożywienia rozmowy i zajęcia czytelnika, III. 105 n.: sprawa powołania Jagiełły na tron polski — dyalog Lezdejki i mieszczan wileńskich), wreszcie rzut oka na wypadki wstecz przez usta jednej z osób (bliższe szczegóły o Jadwidze przed przybyciem Jagiełły do Krakowa, chrzest, ślub, koronacya — ustami gońca W. Mistrza, IV. 32 n.).[1])

Którą z metod uznać należy za szczęśliwszą, Niemcewiczowską, czy autora „Pojaty“, o to tutaj nie chodzi — z punktu widzenia artystycznego jednej i drugiej - możnaby czynić zarzuty — dla nas ważnym jest fakt, że Niemcewicz w sposobie kreślenia tła historyczno-politycznego odchylił się od praktyki mistrza bardzo znacznie, kiedy Bernatowicz wszedł w ślady autora „Waverleya“ i fakturę jego romansów, w omawianym zakresie, uznał za własną. Co prawda, należy się tu zastrzedz, iż mówimy o pewnej grupie romansów WScotta, w innych bowiem niema wspomnianych *quasi* interpolacyi „szkiców historycznych“ — przeciwnie wydarzenia dziejowe rozgrywają się przed naszemi oczami jako sceny romansu, sceny, w których bohater wątku erotycznego gra zazwyczaj znamienitą rolę. Sienkiewicz — powiedzmy nawiasem — połączy w swych powieściach historycznych metody grup obu.

*
* *

[1]) M. Grabowski myli się (op. c., 26), kiedy twierdzi, że „sceny historyczne polskie“, „wystawione... w opowiadaniu Krzyżaków“, to „tryb dawnych pseudo-historycznych romansów, wygnany manierą WScotta“, Scott bowiem częściowo przejął tę manierę.

Stosem pacierzowym ogromnej większości historycznych powieści obyczajowych Scotta, jak już i u jego poprzedników, jest miłość między bohaterem i bohaterką romansu[1]). Wątek erotyczny pełnił bowiem rolę nici przewodniej i w romansie „galanto-heroicznym“ i w Fieldingowskim. O analizę uczuć miłosnych tu nie chodziło, raczej o kit spajający całość budowy, a czasem o coś więcej. Wyliczać romanse Scotta, w których miłość pełni rolę motywu przewodniego, byłoby zbytecznem. Prócz wymienionych wyżej przypomnijmy sobie tylko „Abbot“, „Fortunes of Nigel“, „Peveril of the Peak“... Kochanek ma — nie zawsze — współzawodnika, czasem postać humorystyczną, częściej intryganta, czarny charakter. Z motywem miłości łączy się często motyw intrygi i tajemnicy — spadek po romansie senzacyjnym — o czem jeszcze niżej.

Miłość spotyka się z przeszkodami rozlicznej natury. Bywają niemi: niechęć rodowa wskutek sporu dwu rodów, niższość pochodzenia, opór ojca kochanka, nieznane pochodzenie umiłowanej kobiety lub bohatera wątku erotycznego, haniebne intrygi współzawodnika i t. d., i t. d. Obok głównego wątku erotycznego rozwijają się czasem takież wątki uboczne. Uczucia miłosne nie mają nic wspólnego z sentymentalizmem, kochankowie nie są to natury refleksyjne, lecz pełne sił życiowych, zdolne do działania.[2])

Za przykładem WScotta chciał także Niemcewicz uczynić w swej powieści historyczno-obyczajowej miłość nicią przewodnią. Jest to miłość bohatera ku pięknej i dostojnej cudzoziemce, znachodząca chwilową przeszkodę w oporze brata Cecylii, króla Eryka,

---

[1]) Gdzie nie odgrywa ona w całości kompozycyi roli głównej, tam jest inna wydatna oś krystalizacyjna: akcya powstańcza, czyny drugiego, istotnego bohatera powieści („Waverley“, „Rob Roy“).

[2]) Do wyjątków należy Morton w „Old Mort.“, który wygłasza takie refleksye, jak: „Nasze zamiary, nasze namiętności podobne są do fal morza, i bez pomocy tego, który stworzył pierś człowieczą, nie możemy rzec falom: dotąd, a nie dalej“ (XXIII.), albo: „wśród codziennych zajęć i rozkoszy zmieniają się ludzie, jak liście na jednem i tem samem drzewie, z temi samemi indywidualnemi różnicami i z tem samem ogólnem podobieństwem“ (XLI.), albo: „Szemrzesz? — mówi M. do strumienia. — Czem jest twe pienienie się i twoje szemrania wobec niezmiernych wód oceanu, tem są nasze troski, nadzieje, obawy, radości i bole wobec... wieczności“ i t. d. On to, Morton, jedyny może z pośród kochanków w romansach Scotta, szuka wprost z chciwością niezwykłych, potężnych widoków natury. Postacią odbiegającą od typu jest również Tressilian z „Kenilworth“.

i w sprzeciwie rodziców Tęczyńskiego. Powodem oporu jest oczywiście nierówność pochodzenia. Przeszkody znikają, ale sielanka miłosna, która zresztą zabarwiała się niejednokrotnie dramatycznie, kończy się tragedyą, po części z własnej winy kochanka. Obok tej głównej nici, ustępującej (jak to bywa i u Scotta) często na plan drugi, jest i inny jeszcze węzeł romansowy: miłość Don Juana di Medina Czeli ku Zofii Tenczyńskiej. Przeszkodą jest — narzeczony, a gdy ten ginie w walce z Tatarami, żal panny po poległym, uprzedzenia jej rodziców do Don Juana jako do cudzoziemca. Rozwiązanie konfliktu szczęśliwe. Ale Niemcewicz był hojnym w rozsnuwaniu wątków miłosnych, tak hojnym, jak WScott nie bywał. Bo oto uwaga czytelnika zwraca się jeszcze ku dziejom miłości Ligenzy i panny Stadnickiej, a nadto — chwilowo — ku szerszemu epizodowi, kreślącemu uczucia miłosne Eryka i Katarzyny Mans. Trzeba też pamiętać o epizodzie (pięknym) rzewnej miłości Lowny do wojewodzica, kiedy ten spoczywał już na łożu śmiertelnem.

Jak pojmuje Niemcewicz miłość w „Janie z Tęczyna"? Tu rozbieżność z WScottem jest widoczna. Kochankowie w romansach Scottowskich odczuwają miłość prawie zawsze za pierwszem wejrzeniem, tęsknią, pokonywają rozliczne przeszkody, by otrzymać rękę ukochanej, doznają uczuć zazdrości, czasem marzą, ale, jak już wspomnieliśmy, uczucia ich dalekie są od sentymentalizmu. Uczucia zaś Tęczyńskiego to jeszcze w znacznej mierze echa atmosfery „Nowej Heloizy", werteryad i „Dziadów".

Don Juanowi na zarzut, że nie zna, co to męki miłości, odpowiada Tęczyński: „To prawda, że nieba ustrzegły mię dotąd od tych gwałtownych uczuć, któremi ciebie widzę miotanym, nie mniemaj jednak, by serce moje nie było zdolnem czuć silnie władzy piękności i cnoty; bodajby ta, którą mi niebo przeznacza, której *urojony obraz nieraz w rozognionej imaginacyi mojej kreśli się,* dzieląc czyste serca mego płomienie, dzieliła wszystkie życia mego koleje..." (49). Marzenia o nieznanej, ale przeznaczonej kochankowi wyrokiem wyższym kochance, to widoczny refleks z Dziadów, których Tęczyński nie czytał, ale zato czytał Niemcewicz.

Na widok królewny Cecylii wojewodzic uczuł, „iż wybiła godzina, w której serce jego przestało być wolnem". Potem „miotany" był „gwałtownemi poruszeniami", to nadzieja, to obawa budziły się w jego piersi, aż przyszło do wyznania — w stylu „Nowej Heloizy". Gdy Cecylia wspomniała o wdzięczności dla zbawcy, „niestety, rzekł młodzieniec, to tylko uczucie wolno ci jest

mieć dla tego, który cię *uwielbia nad świat, nad życie swe przekłada*". „Nie poświęciłeś się niewdzięcznej, przytłumionym głosem odpowiedziała siostra Eryka... Tak jest, hrabio, widzisz we mnie *nie* królewnę, *nie* córkę Gustawa, *lecz* Cecylię swoją, która się *nad trony, nad mocarzów, nad wszystko* ceni..." i t. d. (145). Są to typowe sposoby stylistyczne Russowskie, powtarzania, stopniowania, przeciwstawiania, zestawiania określeń.[1]) Podczas nocy bezsennej „*gwałtowne* uczucia niepojętego szczęścia, otwierające się w dalekiej, nieprzejrzanej przyszłości słodkich rozkoszy i powodzeń widoki" były Tęczyńskiemu milsze „nad sny dobroczynne". A jego list do Cecylii — znów na obraz i podobieństwo stylu Russa: „*Jakimże* żalem, *jakąż* bolesną litością przejął mię ostatni list twój, *droga, uwielbienia godna,* Cecylio moja! Możeż być, żebyś *ty* zachwycającą pięknością, słodyczą twoją anielskim chyba podobna tworom, *ty,* którą tylko uciechy i wdzięki otaczać powinny, byś *ty,* droga moja, na *łzy, frasunki i tęsknoty* wydaną była?! Obraz twój ustawnie kreśli się w oczach moich, niestety! *nie* z tym uśmiechem, *nie* z tym wzrokiem, gdzie się malowały miłość i szczęście, *lecz* pogrążony we frasunku i łzach. *Ach!* luba moja..., *ach* biorę na świadki świadome uczuć mych nieba..., *ach* nie wiesz, *jak* ciężkie, *jak* trudne są walki..." i t. d. (300—1) — znów typowe powtarzania, stopniowania, gromadzenie synonimów, pytania, wykrzykniki. Reminiscencyą zaś wyraźną z Wertera czy którejś z werteryad, jest scena pożegnania, ze sztafażem księżycowym, z ciszą nocną. Cecylia podnosi rękę ku niebu i mówi: „*tam dzieje prawdziwego żywota*... Tak jest, przyjacielu, te uczucia, które się tutaj w sercach naszych zajęły, wszystkie cnotliwe duszy naszej udziały w wieczności trwać będę... *Ta jest,* przyjacielu, jedyna w troskach życia tego *pociecha*..." Poczem Tęczyński wziął swą ukochaną za rękę i „długo trzymał w twarz jej wlepione (niestety) oczy swe", wreszcie „łzy obfite spadły na męską twarz jego". Kiedy „zniknął", Cecylia „zemdlona padła na ziemię" (w „Werterze" i werteryadach pada na ziemię, po zniknięciu ukochanej, nieszczęśliwy młodzieniec).

To też Tęczyński, chociaż na ogół, jako typ, na tle XVI. w. nie razi, kocha się jak bohater romansów sentymentalnych, naśladuje ich najwidoczniej.

---

[1]) Por. E. Schmidt: Richardson, Rousseau und Goethe. Jena, 1875. (Stil, 244 n.).

Toż samo czyni Don Alondzo di Medina Czeli, kiedy, choć wzajemności nie zdołał pozyskać, „nieraz, gdy ujrzał wyciśnione na piasku ślady stopy maleńkiej, mniemał, iż znalazł tor jej (ubóstwianej) i napróżno puszczał się za nim; często, gdy powiew wiatru przynosił do niego zapach róż i jaśminów, rozumiał, że to były ciemnych jej włosów zalatujące wonie...“ Pamiętamy też, że „łzy obfite przerwały mu mowę“, gdy o oddaleniu się przyszło mu mówić. Ale Don Alondzo prócz sentymentalnych kochanków miał przed oczyma wzór inny jeszcze — o czem później.

Rola wątków miłosnych w „Janie z Tęczyna“ jest rozmaita. W części mają one tworzyć nić przewodnią, około którejby się osnuwał bardzo obfity a różnorodny materyał powieściowy, w części mają wnieść żywioł wesołości (do czasu: miłość D. Alondza), w części żywioł rozmaitości, w części — nastrojowy. Na tok spraw natury wyższej miłość nie wpływa.

W „Pojacie“ dzieje się inaczej. Tu rola uczuć jest znacznie wydatniejsza, miłość bowiem tworzy w powieści Bernatowicza i sprężynę działań i, co więcej, z niej rodzą się wydarzenia dziejowe niezmiernej doniosłości. Węzłów miłosnych jest znów kilka: więc miłość Firleja-Trojdana, który przedtem kochał Helenę Habdank, a potem Jadwigę, ku Pojacie (rywal jest równocześnie wrogiem narodu); obok tego miłość Jagiełły do Jadwigi, Heleny do Firleja, Wojdyły do Akseny, Sławeńki do Pojaty (nieszczęśliwa, zakończona dobrowolną śmiercią młodzieńca), miłość Dowojny do Heleny, Daniela do Akseny, potem do Pojaty, potem znów do Akseny. Wypadki historyczne rodzą się z czterech pierwszych węzłów [1]), inne mają bądź charakter epizodyczny, bądź przeznaczenie szczególne (wniesienie elementu ożywiającego).

Do uczuć głębokich zdolny jest bohater romansu, mimo, iż stałym — bez obrazy prawdy — nazwać go nie możemy. Głębokiem jest jego uczucie dla Jadwigi (dla niej idzie na Litwę, zostaje rzekomym ofiarnikiem, a na widok Pojaty, podobnej do córki Ludwika, „posłonił się ku ścianie“ i zbladł „jak Pekolo“). Jest to

---

[1]) Miłość Firleja do Jadwigi rodzi pracę misyonarską na Litwie, miłość Jagiełły do Jadwigi łączy dwa państwa. Swatką jest Helena Habdank, która, planując małżeństwo księcia Litwy z królową polską, chce zniszczyć w sercu niewiernego kochanka wszelką myśl o Jadwidze. Z miłości Wojdyły ku Aksenie rodzą się jego knowania i ich następstwa; dzięki odsieczy Akseny, mszczącej śmierć męża, Jagiełło odzyskuje władzę. Pomysł ostatni, przeprowadzony wadliwie, na co zwrócił uwagę już Grabowski (op. c., 35).

ta skala, do której są zdolni również bohaterowie romansów WScotta, czy Quentin Durward, czy Markham Everard, czy Halbert Glendinning, czy Ivanhoe.

Oryginalnym był Bernatowicz w kreśleniu rozwoju i objawów miłości wzajemnej Firleja i Pojaty. Firlej wprawdzie, jak Edward Waverley, trzykrotnie zmienia przedmiot uczuć, ale kocha inaczej. Czy Edward był zdolny do takich poświęceń, jak Firlej, nie wiemy, z tem jednak, że serca Flory nie zdołał pozyskać, pogodził się dość łatwo, nie było w nim więc chyba materyału na bohatera miłości. Jego uczucie dla Róży Bradwardine jest spokojne i nie rychło dochodzi do jego świadomości. Firlej skłania serce ku Pojacie zrazu dlatego wyłącznie, że córka Lezdejki podobna była do Jadwigi (w tem nowość pomysłu), później powoduje nim również wdzięczność gorąca (w tem podobny jest do Waverleya). Przez czas jakiś jest we wnętrzu swem jakby rozdwojony: „mimowolną łzę ronił nad swą niewiernością dla wybranej Pani i niezwłocznie znowu się dręczył, że nie dość podziela uczucia swej wybawicielki". Lecz „wkrótce te ognie... w jeden się płomień złączyły". Cóż się stało? oto „ujrzał raz Pojatę w świątyni, znalazł ją piękniejszą niż kiedy, zbliżył się do niej lękliwy...", i córka Lezdejki „została odtąd jedynym celem jego chęci i myśli" (III. 45). Obrazu, przebiegu procesu psychologicznego oczywiście nie szukajmy — autor opowiada zresztą o wszystkiem od siebie, — ale pomysł zasadniczy przechodzenia uczuć z przedmiotu na przedmiot pod działaniem rozmaitych czynników był szczęśliwy.

Również rozwój uczuć Pojaty, jako koncepcya, nie pozostawia nic do życzenia. Autor zaznacza wyraźnie, że zrazu było to przywiązanie, zrodzone z atmosfery, wśród której żyli oboje z Trojdanem, z rodzaju jego zajęć, z jego rozmów o niebie otwartem i chórach aniołów. Po oddaleniu się młodego ofiarnika Pojata czuje „żal tkliwszy niż kiedykolwiek", ale powoli uspakaja się; troszczy się o swego przyjaciela, lecz nie doświadcza już „nieznośnej tęsknoty". Dopiero śmierć grożąca Trojdanowi roznieca w niej płomień czułości, i wówczas to woła: „żyć będziesz lub ja zginę z tobą", co więcej, zdobywa się na patos. kiedy na słowa ojca: „pomnij na gniew bogów", odpowiada z uniesieniem: „jeśli nieszczęśliwego obrona gniew ich porusza, nie chcę znać więcej tak okrutnych bogów!... Jeśli nas nie chcesz ratować, zginiemy jedną śmiercią..." (III. 30). Gdy tak mówi, siłą napięcia uczuć przypomina nieszczęsną Amy Robsart, choć jest do niej zresztą zupełnie niepodobna.

Natomiast uczucia namiętne komtura Sundsteina i jego stosunek do Pojaty, to kopia stosunku Briana do Rebeki z romansu „Ivanhoe“, jak na to już niejednokrotnie zwrócono uwagę, w szczegóły zresztą nie wchodząc.[1]) Ale i o wskazanie szczegółów nietrudno.[2])

Jedyna to jaskrawa zapożyczka Bernatowicza u WScotta, bodaj jednak czy nie świadoma?

Samoistnym okazał się powieściopisarz znów, kreśląc obraz uczuć Jagiełły. Czy jednak ta samodzielność wyszła w tym wypadku na korzyść prawdopobieństwa pomysłu — to inna sprawa. W portrecie można się zapewne zakochać, zwłaszcza gdy się wie, że portret przedstawia istotę żywą, zazdrość mogła w Jagielle miłość podniecać, ale czy na pytanie: „gdyby (osoba, którą portret wyobrażał) była ubogą jakiego kraju poddanką“, czyliby to jego nie zmieniło uczuć, czy na pytanie takie pogański, despotyczny władca Litwy odpowiedziałby istotnie „z zapałem“: „Nigdy! Czyliż ten wyraz oblicza nie mówi, że jej dusza jest najzacniejszą, że jest godną losu mojego“ — wątpić wolno. Trudno, pomysł pociągał za sobą konsekwencye, a Bernatowicz to rozumiał.

---

[1]) Por. S. Tarnowski. Dzieje literatury polskiej. Kraków, 1900. T. IV., 375; T. Choiński. Historyczna powieść polska. Warszawa (1899), str. 38; K. Wojciechowski. Rozwój powieści w Polsce od r. 1776—1830, Encyklopedya polska, wydawn. Akademii Umiej., Kraków (1918), T. XXII., 132.

[2]) Sundstein pojęty został jako charakter gwałtowny, na wszystko się ważący; uczucie jego jest żądzą, która rozpłomienia się tem silniej, gdy spotyka się ze stanowczym oporem. Upatrzoną ofiarę chce S. olśnić wielkością, nadzieją nadzwyczajnych blasków: „bądź tylko śmiałą, korona się nad twoją głową unosi... Jedno słowo twoje ten znak zakonny zmienić może w bukiet godowy“ (II. 39); roztacza komtur przed Pojatą wielkie, światowładne plany (II. 44), lecz „wszystkie swe zabiegi dla pozyskania jej serca daremnemi widział“. Prawdziwość jego uczuć została wszelako wystawiona na próbę. Pojata oskarżona — „stary Krzyżak“ twierdzi, że Sundsteina urzekła, a jeden z świadków zarzuca jej czary, wskutek czego nieszczęśliwa ma stanąć przed sądem. Idzie więc Pojata przed sąd, mało wiedząc, co się z nią dzieje. Przewodniczy sędziom W. Mistrz (bolejący nad upadkiem obyczajów w Zakonie). Zapytana, odpowiada Pojata, że na obronę nic niema, prócz niewinności swojej. Wyrok: winna. Sundsteina rola była w tem wszystkiem haniebna, ale teraz, „kiedy wspomniał, że może ją (Pojatę) stracić na zawsze, mimowolny żal duszę jego udręczył“ (IV. 125), myśli, że możeby jeszcze „w szczęśliwszej rzeczy kolei serce jej pozyskał“. Wykonawcą wyroku na Pojacie ma być on, Sundstein, to też, korzystając z tego, w ostatniej chwili namawia ofiarę swą do ucieczki, a gdy

Z pewnem psychologicznem pogłębieniem natomiast scharakteryzował i odtworzył uczucia miłosne Heleny na tle obrażonej miłości własnej, dumy, zazdrości, zemsty, nawet uczuć patryotycznych, bo i te były czynne, gdy Jagiełłę chciała widzieć żoną Jadwigi.

Chodziłoby o stosunek roli miłości w „Janie z Tęczyna“ i w „Pojacie“ do WScotta. Jak z uwag powyżej zamieszczonych wynika, rola ta w romansach naszych autorów jest różna. W „Janie z Tęczyna“ ma być miłość bohatera nicią przewodnią, ale faktycznie nią nie jest, wszystko bowiem, co widzimy i o czem słyszymy, działby się mogło i nawet się dzieje bez jakiegokolwiek wpływu miłości wojewodzica i królewny na bieg wypadków; w „Pojacie“ miłość jest ważnych wydarzeń tajną rodzicielką. U Scotta bywa jedno i drugie. W jednych romansach, jak zaraz w pierwszym i najgłośniejszym, w „Waverleyu“, zdarzenia ogólniejszej natury idą swoim biegiem, a choć do dziejów serca bohatera autor stale powraca, niczem te dzieje przy zawiązywaniu i rozwiązywaniu węzłów historyczno-politycznych nie ważą na szali; w innych, jak n. p. w „Kenilworth“, w „Q. Durwardzie“, miłość

Pojata odmawia, woła: umieraj więc! Wtem zjawia się tajemniczy krzyżak (Trojdan) i ten spycha Sundsteina w przepaść.

A w „Ivanhoem“? Templaryusz Brian, to, o ile chodzi o charakter tudzież gwałtowność i jakość „uczuć“, prototyp Sundsteina. I jego opór Rebeki niesłychanie podnieca. I on chce swą upatrzoną ofiarę olśnić i potęgą własną i widokami świetnej przyszłości — dla niej („Submit to thy fate... and thou shalt go forth in such state, that many a Norman lady shall yield as well in pomp as in beauty to the favourite of the best lance among the defenders of the Temple“, wyd. lipskie, 1845, s. 279); i on mówi nieustraszonej dziewczynie o swych niesłychanych planach („Our mailed step shall ascend theier throne — our gauntlet shall wrench the sceptre from their gripe“, s. 282). Wszystko nadaremnie. Ale nadchodzi chwila, w której ma się okazać wartość miłości Briana w całej pełni. Albert Malvoisin poddaje W. Mistrzowi myśl, że Rebeka rzuciła czary na Briana, znachodzi się i świadek, twierdzący, że widział jej praktyki czarnoksięskie — odbywa się sąd. Przewodniczy W. Mistrz (bolejący nad upadkiem obyczajów w Zakonie). Obrona Rebeki, rola Briana. Na wniosek jednego z Templaryuszy on ma na sądzie bożym walczyć za Zakon. Ale budzi się w nim jeszcze chęć i nadzieja uwolnienia Rebeki i pozyskania jej, namawia ją przeto do ucieczki — w przeciwnym razie grozi jej śmierć w męczarniach. Rebeka wybiera śmierć. Jeszcze jedna próba — daremna. Na sądzie bożym nie zjawia się nikt, by walczyć za Rebekę, czas oznaczony mija, wtem pędzi jakiś rycerz nieznany... Brian pada w szrankach martwy.

jest na planie pierwszym, ona głównie zajmuje autora i czytelnika, ona też, w pewnej mierze, wpływa na bieg wydarzeń szerszego znaczenia. Ale tylko w pewnej mierze — rola bowiem miłości w żadnym z romansów Scotta nie jest tak wydatna, jak w „Pojacie". Kto wie, czy nie należałoby w tym wypadku dopatrywać oddziaływań na Bernatowicza tradycyi dawniejszej?

Konstanty Wojciechowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Generałowej

Benigny Kazimierzowej Małachowskiej Pamiętniki.

1830—1870.

(Ciąg dalszy).

1-go Stycznia 1834 r. Tuluza, lubo pierwszego rzędu miasto we Francyi, nie podoba mi się przecież. Źle zabudowane, ulice kręte, mylne, źle brukowane. Język w ludzie tak niezrozumiały, że niepodobna rozmówić się. Życie tanie — obfitość wielka wszystkiego. Powietrze, przynajmniej dla mnie, niezdrowe; sny miewam straszne, gorączkę ciągłą, jeść bardzo mało tu można, żadnego mocnego napoju. Nie znam tu ani jednej kobiety; Polki niema żadnej — do obcych nie pociąga.

19-go. Bardzo nabożne miasto. Piękne, wspaniałe kościoły. Dziś mnie zaprowadzono na sławne kazanie; ale to sztuka, jak się dostać do kościoła, kiedy od południa już tam idą i miejsce zajmują, aby o godzinie 8-mej w wieczór kazania posłuchać.

1-go Lutego 1834 r. Lubo żadnego niepokazałam życzenia zmiany pobytu naszego, anielska dusza dobrego Męża mego chce mnie zawieść między znajomych i przyjaciół. W maju mamy wyjechać do Paryża.

30-go. Zdrowie mi tu nie służy; niepokój wielki w duszy: zdaje mi się, żem na końcu świata.

15-go Kwietnia 1834 r. Wiadomości z kraju okropne. Popowieszano, pozabijano naszych emisaryuszów; tysiące familij skompromitowanych Syberyę zaludniły, a żadnej z tego korzyści dla

kraju. O, jakże nie cierpieć, jak być spokojną! Trudno jest potępiać chęć dobrą; często zbytnia gorliwość do szkodliwych nas wiedzie środków. Chciano dobrze, lecz najgorzej się stało.

3-go Maja 1834 r. Pułk. Kozłowski jest u nas od dni kilku. Dziś szczególniejsze mieliśmy odwiedziny. Dwóch ziomków weszło nieznanych nam. Dosyć, że to byli bracia, aby ich czułem przyjąć sercem. — Szczególniejszy ubiór jednego z nich zapowiadał, przy ponurej postaci jego, że ma coś na myśli, sprzecznego z całym porządkiem towarzyskiego pożycia. Nie dla szykany, ale aby dać wyobrażenie, jaką dziwaczną chcą sobie nadać postać niektórzy demokraci, dosłownie powtórzę tu rozmowę i opiszę ubiór. — Niewyspaną, bladą, żółtą, nabrzmiałą i nieumytą twarz oznaczało wielkie zaniedbanie. Głowa nieczesana, związana brudną chustką; na ręku ciała od brudu widzieć nie można było; paznokcie nigdy nie obcinane widać; suknie w złym bardzo stanie, bez kamizelki — niedbale szyja związana brudną, białą chustką, z pod ktorej całą pierś nagą, od słońca opaloną, widać było. Spodnie kozackie, szerokie, sznurkiem związane; z jednej kieszeni widać było fajkę, a z drugiej pakiet jakiś. Buty dziurawe; z jednego wiecheć ze słomy wychodził, a z drugiego nagi wielki palec z paznokciem niesłychanie wielkim. Kij czyli pałka ogromnie wielka — w ręku; kapelusz, podziurawiony pod Ostrołęką od strzałów, kończył ubiór pierwszego naszego gościa. Drugi zaś młody, przystojny człowiek, starannie ubrany w polską czamarkę, niesłychanie dziwną sprzeczność z pierwszym stanowił. — „Jak się masz, Obywatelu?" — rzekł pierwszy. — „Dobrze, ale Ty, Obywatelu, widać, że cierpiącym jesteś." — „To kontuzya, pod Grochowem", rzekł dumnie. — „Proszę siadać" — i usiedli. — „Przychodzimy tu do Obywatela, abyś nam pokazał listę, komu to i jakiem prawem dałeś pieniądze, przysłane Ci przez Czartoryskiego, do rozdania?" — „Jakie prawo masz, Obywatelu, pytać mnie o to?" — „Bo to są pieniądze Emigracyi, a my Emigracyę stanowimy." — „Być to może, ale ja żądania zaspokoić nie mogę, w ten sposób mi uczynionego." — Drugi milczał ciągle — pierwszy zaś dalej tak swą konwersacyę prowadził: „Bo to potrzeba wiedzieć, jakiej my chcemy Polski — i swoim ogromnym kijem zaczął jej granice kreślić po ziemi, — takiej, albo żadnej; szlachta pod miecz; o, my musimy porządek zrobić." — „Krew przelać wpierw dla Ojczyzny potrzeba — odpowiedział Mąż, — a prawa stanowić będzie 20-milionowy naród. — Nie podobało się to Demokracie, powstał z gniewem i bez pożegnania wyszedł. Pan Kozłowski, którego dużo obeszło to zapytanie,

nic nie mówiąc, udał się na plac Kapitolu, gdzie zwykle zbierali się Polacy — opowiedział im zdarzenie. Po krótkim namyśle Pan Brzozowski rzekł im: „Pan G. M.[1]) nie ma syna, a sam obciążony wiekiem, więc ja staję w obronie jego i Panów proszę na sekundantów; kto ubliża wiekowi i zasłudze, ten ubliża nam wszystkim, którzy pierwsze i drugie cenić umiemy.“ — Znaleźli się jeszcze inni, którzy to samo uczynić chcieli, ale zacny rodak Brzozowski żadnemu nie ustąpił. Lecz demokrata pojedynku nie przyjął; skończyło się, że plac ostrzelano, a Męża za uchybienie przeproszono. Należy tu powiedzieć, że te pieniądze, o które zapytywano, były przysłane przez Towarzystwo Naukowej Pomocy na ręce Męża dla rozdania ich tym, którzy się wyłącznie naukom oddają.

10-go. Przed miesiącem przysłano propozycyę, czy nie zechcę być korespondentką Towarzystwa, zawiązanego w Paryżu w celu wspierania braci, bez sposobu utrzymania się, chorych i sierót. Cel piękny, zgodny z uczuciem serca — propozycya przez znaną mi Panią z Tańskich Hoffman, nie była do odrzucenia — przyjęłam. Obowiązek naznaczono mi: zbierać i powiększać składki, fanty etc., wywiadywać się o potrzebujących wsparcia i t. p. Zajęłam się tem szczerze, ale do kogóż, nieznajoma, udać się może? do braci, którzy ostatkiem nawet zwykli się dzielić z biednymi. — Zaczęłam od zakładu miejscowego w Tuluzie — pisałam do innych. Lecz w pierwszym odmówiono, wyłajano nawet; reszta delikatniejszego użyła sposobu: nie odpisali — i na tem się skończyły starania moje co do funduszów. — Co się zaś tyczy wyszukania potrzebujących — tych mi nigdy nie zabraknie; znam wielu szlachetnych ubogich, co się z nędzą kryją. Ale jakże żądać funduszów, kiedy się nic nie wniosło. Zasiadłam do pracy; tę i moje składki zawiozę do Paryża; miłe to jest zatrudnienie, ale jakże to boleśnie, że takie pokazuje się rozdwojenie. Mnie się zawsze zdawało, że my, rozproszone dziatki jednej matki - Ojczyzny, winnyśmy sobie: zgodę, miłość i wsparcie.

18 go. Zachorowałam na zapalenie gardła; wezwany Pan Doktor Lafok dużo okazał sympatyi. Gdyby ta chwilowa słabość dawniej się była zdeklarowała, pobyt nasz w Tuluzie byłby dłuższy, bo ta cała familia tyle przychylności okazała, że niepodobna im było odmówić zostania tu dłużej. Ale że pozwolenie ministra jest udania się do Paryża, wyjechać więc trzeba.

---

[1]) Generał Kazimierz Małachowski.

28-go. Opuściliśmy Tuluzę — każde miejsce z żalem opuszczam, bo wszędzie się znajdą ludzie, z którymi rozdział przykry bardzo. Jechaliśmy piękną równiną, aż do Castel Sarrasin; dalej, po grzbiecie gór wężykiem prowadzoną drogą, aż do Agen. Tam zmieniono dyliżans i aż do Marmande, w ciasnocie, w niewygodnem siedzeniu, w towarzystwie dosyć niemiłem, późno w nocy dojechali. Po dwugodzinnym spoczynku wsiedliśmy na statek parowy i bardzo miłą i przyjemną podróż do Bordeaux odbyliśmy. Dopływając do Bordeaux, na parę godzin morze przybierać zaczęło; piękny widok, jak ta woda przybywa; pieści się.

30-go. Takie piękne to Bordeaux, że się niem nacieszyć dosyć nie mogę; jedno z najpiękniejszych, jakie we Francyi widziałam. W kawiarni Loursa spoczęliśmy po długich kursach. Byliśmy w teatrze — jaki piękny, wspaniały, bogato przybrany. Burza, port morski i wiele innych gmachów, mile przedstawiają się oku. I tu kilku poznaliśmy naszych; jednego dobrze nam znajomego, któren mi młodość moją przypomniał, któren nieraz w szczęśliwem gronie familii naszej gościł; znał mego czcigodnego Ojca — zapłakałam, bo mi go rzewnie wspomniał. O, mój drogi Ojcze! jeżeli się duch Twój unosi nademną, nie odstępuj mnie, równie jak i tego, któregoś Ty tyle ukochał, a który dziś całe szczęście moje stanowi.

1-go Czerwca 1834 r. Przybyliśmy do Poitiers; chęć poznania wszystkich swoich rodaków, gdzieśmy tylko przejeżdżali, była zawsze jedna. Serce moje ani da wyperswadować sobie, że to niepodobna znaleźć w każdym z braci naszych życzliwego sobie. Jakieś partye: arystokratyczne, demokratyczne i Bóg wie, jakie tam jeszcze; nie dosyć jest, widzę, być dobrym, cnotliwym Polakiem. A więc i w Poitiers pytamy się o rodaków. — „Oto idzie jeden“, rzekł nam Francuz, któregośmy się pytali. — „Monsieur Jean! — zawołał na młodego, przystojnego człowieka — oto są rodacy Twoi.“ — „Któż jesteście — zapytał nas zimno — Obywatele? — Małachowscy, ha, żegnam!“ i jak oparzony odbiegł od nas, zostawiając i Francuza i nas w zadziwieniu. — „Oto idzie drugi — rzekł z wielkim interesem ów Francuz, — ten starszy wiekiem i umiarkowany.“ — Istotnie, był to bardzo porządny i rozsądny człowiek; zbliżył się do nas i już nas nie opuścił, aż w dalszą udaliśmy się drogę.

2-go. Przybyliśmy do Tours. Tu gościnnych i miłych znaleźliśmy braci, dosyć powiedzieć Walentego Zwierkowskiego. Fetowani, oprowadzani wszędzie; 30 godzin, jak jedna minęły chwila. Okolica śliczna.

4-go. Opuściliśmy z żalem i z wdzięcznem sercem uprzejmych braci. — Jedzie się brzegiem Loire'y, tamą bitą, czas długi — śliczna okolica, ogrodami Francyi zwana, godna jest tego nazwania, bo, istotnie, czarujące są brzegi Loire'y; napotykasz piękne domy, pałace, ogrody, parki. Rzeka statkami okryta; bawiłam się tym zachwycającym widokiem, dopóki noc ciemna nie zapadła.

5-go. Równo ze dniem wjechaliśmy do Orleanu; tyle tam tylko zostawiono czasu, żeśmy się napili kawy i posąg Dziewicy Orleańskiej zwiedzili. O godzinie 4-tej z południa wjechaliśmy do wielkiej stolicy — Paryża. Zbliżając się do przedmieścia — wielki ruch powozów, bryk pakownych, dyliżansów i różnego rodzaju małych i dużych zaprzęgów, daje poznać, że się do wielkiego miasta wjeżdża. Utrudziłam sobie oczy, czytając rozmaite napisy po domach — aż oto i w mieście — i w Messagerie Royale. — Tam jeszcze niemało kłopotu; potrzeba było otwierać wszystko; zgiełk ludzi, każdy o coś pyta, ofiaruje swe usługi, aż do znudzenia. Nakoniec wyrwaliśmy się z tego tłumu, a wsiadłszy do fiakra zajechaliśmy do Państwa Żarskich, gdzie z prawdziwą polską gościnnością powitani i przyjęci zostaliśmy. Zastałam siostrę Pana Żarskiego, niedawno przybyłą z kraju; prawdziwie, zapomnieć się można tu, że to nie w Paryżu, ale gdzieś tam w Krakowie jesteśmy.

6-go. Oddawna polecono mi, abym Palais Royal pierwszy raz nie inaczej, jak w wieczór starała się widzieć; idziemy tedy tam w wieczór — ja z myślą nastrojoną, że tam cuda zobaczę, że miasto w mieście znajdę etc. — Że pięknie, wspaniale i wesoło się prezentuje Palais Royal w wieczór — to prawda, ale nic mnie tam nadzwyczajnego nie zastanowiło: sklepów dużo wystawnych, oświeconych, błyskotkami przybranych; mnóstwo ludzi różnego stanu i ubioru przechadza się i przed każdym nieledwie sklepem zatrzymuje się dla przyglądania się zręcznie zawieszonym i ugrupowanym rzeczom na sprzedaż wystawionym. — „A co? — zapytali liczni przyjaciele, z którymi obeszliśmy wszystkie galerye i orleańskie inne — jakie wrażenie uczynił Palais Royal?“ — „Darujcie parafiance, ale extazować się nad nim nie potrafię, znalazłam go takim, jak go sobie można było wystawić; może jutro przy dniu, przypatrzywszy mu się lepiej, w entuzyazm wpadnę.“ Gniewali się na mnie jedni, że się nie miałam zachwycić rzeczą, której nigdzie, jak w jednym Paryżu widzieć tylko można, drudzy przyznawali, że mam racyę. Kiedy się tak żywa dyskusya o Palais Royal toczyła, jam się moją myślą na Miodową ulicę do Warszawy przeniosła i sklep Dyzmańskiego nierównie piękniej mi się wydał,

w którym wszystko porządnie ułożone — wtenczas pokazują. jak kto zażąda czego; moralniej nawet, bo nie tentuje przechodnia, któren tu nieraz ostatni grosz wyda, aby nabył rzecz, która mu się tyle podobała. Śmieli się znowu Paryżanie i Paryżanki, żem śmiała Miodową ulicę i Dyzmańskiego porównać.

7-go. Nasi uprzejmi gospodarstwo nie myślą, jak tylko, aby nas karmić przysmaczkami paryskimi i bawić, oprowadzać. Jeżeli tak potrwa, to ani nogi, ani żołądek pewnie nie wystarczą. Nachodziwszy się dzień cały — w wieczór koniecznie na bulwary pójść potrzeba było, bo one także w wieczór dobrze się wydają. Piękne to prawda, ciekawe dla oka, bo tu wszystko znaleźć można — dla Polaka jednak wygnańca trzech tu rzeczy brakuje: pieniędzy, spokojnej myśli i chęci do zabaw.

8-go. Przenieśliśmy się do najętego mieszkania rue St. Lazare Nr. 124.

9-go. Dziś wyroby sztuk i kwiatów. Szczęśliwy kraj, któren do takiej doskonałości doszedł.

10-go. Nie pojmuję, na jakim to ja żyję świecie; przeszłam raptem z życia samotnego do lubej gościnności polskiej. Dziś byliśmy u Pani Hoffman na obiedzie i wieczorze u Bielskiej — na kawie.

11-go. Zwiedzaliśmy Palais de Tuileries. Król z familią przybył, gdyśmy już przy końcu naszych odwiedzin byli. Pozostaliśmy tem jednak i z okien przypatrywali lustracyi wojska. Piękny jest Pałac Tuileryjski, ale pamiątek żadnych; wielkość wielkości czasów Cesarstwa nie przypomina, prócz sali Marszałków, która jest bardzo wspaniała, my jednak dla siebie znaleźliśmy tam widok miły: biust Sułkowskiego, któren się odznaczył i zginął w Egipcie i był dużo kochany od Napoleona. To popiersie. Mąż powiada, było na wystawie publicznej sztuk pięknych roku 1804; jest w mundurze, z axelbantami, miał być podobno bardzo piękny człowiek, a męztwo jego chlubne dla Polaka.

12-go. Słuchaliśmy Mszy św. w kaplicy, gdzie leżą zwłoki Ludwika XVI. i Maryi Antoinety; zbudowała ją księżna Angoulême, córka ich, w pięknym guście, a jeszcze piękniejszy hołd rodzicom oddany. Następnie ogród w Palais Royal i też po dniu; jedliśmy tam obiad z przyjaciółmi.

13-go. Dom Inwalidów, za czasów Ludwika XIV. zbudowany. Wielki gmach, godzien przybytku kalectwa różnego rodzaju. Tu żywe jeszcze pomniki chwały Napoleona, tu są towarzysze nie jednej bitwy, w której mój drogi Mąż znajdował się. Tu, w kościele,

złożono chorągwie, zabrane z tych sławnych czasów wojennych. Wszystko to smutne wrażenie na mnie uczyniło. Niema wojownika z owych czasów, którenby nas powtórnie o Polski zaprowadził! Nie potrafię opisać, jakiego wrażenia doznaje się, na widok tych szczątków godnie, z wszelkiemi wygodami, konserwowanych. Jest pod tę porę 251 oficerów i 3600 żołnierzy. Oglądając malutkie ogródki, które sobie oni wyprawiają, napotkaliśmy jeden, w którym czapka polska i wiele innych pamiątek świadczą, że właścicielem jego jest Polak; stary i zdziecinniały już jest on bardzo. Ale serce widać młode, czujące; przybrał sobie za swą Ojczyznę piędź ziemi obcej, tu zatknął Orła i Pogoń polską, na nich zawiesił oręż i zbroję. Strumyk, niby w górach krakowskich, spada mu ze skały — słowem ma Polskę we Francyi i kontent; to wie, że tu jego kości pogrzebią, że odbierając chlubną bliznę, wypłacił się swej Ojczyźnie — nie jego wina, że Bóg nie pobłogosławił dobrym chęciom.

14-go. Wezwana na sesyę Towarzystwa Dobroczynności Dam Polskich, przybyłam, aby zdać sprawę jako korespondentka tegoż. Zbiór książąt, hrabiów etc. zaambarasował mnie trochę; rozpoczęto swoje działanie w tonie żartobliwym, wesołym. Panicze paryscy, których tam dużo znalazłam, niewiele mi dobrego wróżyli dla prawdziwego dobra Ludzkości. Bawią się i cała rzecz, ale co mnie w takie grono zamięszało? Chęć służenia biednym braciom! Zobaczymy dalej.

15-go. Galeryę malowań i pałac w Palais Royal, na teraz Orleanu.

16-go. Wieczorem spacer na Polach Elizejskich Les Champs Elysées; bramę, zwaną L'Arc de Triomphe de l'Etoile, oglądaliśmy. Bawią się, bo kraj kwitnie; zawsze wielki, pod własnym zarządem, nie lękają się przywłaszczycieli. Nie wszyscy kontenci z obecnego rządu — są partye — burzą się — ale Ojczyzny nie tracą, mają handel, przemysł, nauki. O, jakaż to różnica od biednej Polski.

17-go. Ogród Botaniczny, gabinet naturalny, zbiór rozmaitych zwierząt, zajął nam dzień cały. Prócz Girafy — wszystkie inne zwierzęta znane nam już były. Ogród bogaty w planty, rozległy. Gabinet naturalny obfity w zbiory bardzo ciekawe. Utrudzeni powróciliśmy.

18-go. Kościół Notre Dame, gdzie się Napoleon koronował. Hôtel de Ville, Place Dauphine, na którym stoi pomnik Dezegs (Desaix), pamięć poległym, w czasie dni lipcowych przy Luwrze, miejsce, gdzie tyle poległo ofiar; kościół St. Germain l'Auxerrois — dziś zamknięty, wszystko to żywo uwagę moją zajęło. Przechodzi-

liśmy mosty d'Austerlitz, de la Cité, Neuf, des Arts. Resztę dnia tak jak wszystkich, w miłem towarzystwie rodaków i rodaczek przepędziliśmy.

19-go. Namawiają nas, aby osiąść w Paryżu. Niektórzy tak są do niego zapaleni, żeby nieledwie Polskę za Paryż oddali; nie rozumieją tego, że daleko spokojniej żyć można na stronie. — Nam tu tak dobrze, gościnnie, a jednak pragnę, aby się te zwiedziny Paryża jak najprędzej skończyły. Ten zgiełk ludzi, hałas odurzył mnie. — Oglądać się na wszystkie strony, czy cię kto nie rozjedzie, nie potrąci, nie oszuka etc. Nie. szczęśliwą będę, jak gdzieś spocząć będę mogła i spokojniej bieg myślom moim nadać. — Oglądaliśmy Panteon; wspaniała, wspaniała budowa na spoczynek ludziom uczonym przeznaczona. Zwiedziwszy podziemne groby, wyszłam na wysoką wieżę kościoła, obchodząc ją dokoła galeryą, można się całemu Paryżowi i okolicom przypatrzeć. Dzień był pogodny; oko daleko sięgało i to był widok zachwycający. Nie wiem, jak długo byłabym tam została, gdybym się nie śpieszyła do Męża, któren mnie na dole czekał. Resztę dnia u Państwa Ordęgów.

20-go. Kościół St. Germain des Prés, gdzie grób Jana Kazimierza, króla polskiego. On dobrowolnie zrzekł się Ojczyzny świetnej jeszcze i kwitnącej. My biedni tułacze grób jego zwiedzamy, nie wiedząc, gdzie nasze kości spoczną.

21-go. Dzień prawdziwego ukontentowania. Klaudya Potocka przybyła; cały prawie dzień z nią przepędziłam. Ona bardzo jest zgodna z myślą i sercem mojem. Ona niczem nie zajęta, jak niedolą braci. Mówiła ze mną wiele o sposobach pójścia im w pomoc, ale to sposobem delikatnym, nieznacznym. Na kilka stron dziś bilety bankowe posłane. O, miłe to i pocieszające zajęcie się! już żadnego innego dziś przedsięwziąć nie chciałam.

22-go. Na obiedzie u państwa Bielskich. Oh, bo mi się też ta restauracye uprzykrzyły. Wybieram zawsze na karcie niby co najlepszego, a jak dadzą, to się nie je smacznie; bodaj swoja kuchnia.

23-go. Byliśmy w Montmorency. Obejrzawszy mieszkanie Rousseau'a Hermitage, gdzie ten sławny człowiek pracował nad znanem dziełem Nowej Heloizy, odwiedziliśmy dwóch naszych wiekiem i zasługą godnych ludzi: Niemcewicza i Kniaziewicza. U pierwszego byliśmy na śniadaniu, a u drugiego jedliśmy razem obiad. Tę miłą podróż w towarzystwie Państwa Hoffmanów odbyliśmy. Po drodze zwiedziliśmy w St. Denis groby królów.

24-go. Znowu kilka chwil miłych z Klaudyą. O, jakże ona pociąga serce moje do siebie.

25 go. Galeryę malowań Luwru; wszystko wielkie i wspaniałe — jest czem głowę sobie zawrócić.

26-go. Dokończenie oglądania tejże samej galeryi, a resztę dnia w Neuilly. Ładne miejsce, gdyby [1]) go Ludwik Filip, na teraz tam bawiący, popularnem uczynił. Zamknięty, opasany murem, do którego dostąpić szyldwachy, rozstawione ze wszystkich stron, bronią, odbywając te wielkie kursa pieszo; jest się czem utrudzić.

28-go. Z Klaudyą Potocką obchodziliśmy wiele miejsc, nakoniec chciała, abym ją zaprowadziła do znajomych sobie rodaczek, co z miłą chęcią uczyniłam.

29-go. Pałac i ogród luxemburski.

30-go. Na obiedzie u Państwa Żarskich, po którym udaliśmy się na wyniosłą górę Montmartre. Pozycya śliczna, dominuje nad całym Paryżem. U stóp tej góry cmentarz tegoż nazwiska — weszliśmy tam. Kilka polskich mogił pokazano mi; świeżo usypana ś. p. Zabłockiej, znanej mi — w kwiecie wieku swego zmarła. Smutna wyszłam z tego miejsca spoczynku i już mnie nic dnia tego nie zajęło.

1-go Lipca 1834 r. Plac Bastylii minąwszy, zaszliśmy do Państwa Borzęckich, a stamtąd do Père Lachaise cmentarza, gdzie prześliczny widok na Paryż. Dwa kroć sto tysięcy przeszło wspaniałych nadgrobków. Wzięliśmy przewodnika, któren nam sławniejsze wskazywał tak co do sztuki mistrzów, jakoteż imion godnych wspomnienia — wielu z historyi zwiedziliśmy. — Co tu pomysłów, napisów; zabłądziłby tu można, nie mając przewodnika. Wiele rzewnych napisów; kilka polskich. Ale jakże wielkie zdziwienie moje było, kiedy stanąwszy przed wspaniałym grobowcem, świeżo od złota błyszczącym: „to jest grób Komara, rodaka Państwa — rzekł nasz przewodnik, — żona mu go, bawiąca w Paryżu, wystawiła, lecz żaden jeszcze zwiedzający go Polak, hołdu nie oddał, bo on był sercem i duszą dla Moskali“. — Przeszliśmy i my zimno około niego. — Mogiły biednych naszych braci nie są pokryte niczem — te pod kamieniem przynajmniej na lat 5 mają zapewniony spoczynek i za ten jeszcze potrzeba opłacić 50 fr. Z sercem ścieśnionem od żalu wyszłam stamtąd. Powóz najęty raptem nas zawiózł na bulwary; były już oświecone kawiarnie, sklepy, lud się cisnął, weselił. Jaka sprzeczność i dla oka i dla duszy!

---

[1]) z boku dopisane: 27-go (czerwca).

2-go. Jaka to wzniosła i piękna dusza tej Klaudyi. Dlaczegóż tu wszystkiego powiedzieć nie mogę powiedzieć, jak zawsze mile spędzam z nią godzin kilka. Ona nie przyjęła zaprosin na opiekunkę do Towarzystwa Dam Paryskich — i miała wielką racyę. Kiedy ona sama, bez składania towarzystw, bez ostentacyi, w skrytości wspierać braci, prawdziwie nieszczęśliwych, będzie. Bo ona nie tych wspiera, co sami proszą lub protekcyi szukają, lecz tych, co szlachetne ubóstwo przed światem kryją. Chory, kaleka, sierota, starzec znajdzie u niej pomoc, nie potrzebując formalności, ni, aby imię jego po rejestrach czytano.

3-go. Przeprowadzamy się na ulicę Pepinière, do domu tak zwanego les Bains Grecques. Na wypoczynek zwiedziliśmy jeszcze dnia tego Parc de Monceau, własność Orleana(!), piękny i dobrze utrzymany.

4-go. Oh, jakie to utrudzające życie w tym Paryżu. Na wielkim teatrze widziałam Pannę Mars grającą. Ani teatr, ani ta sławna aktorka zbyt mnie nie zajęły. Nasza Leduchowska śmiało z Panną Mars może iść w zawody.

5-go. Otóż i Pannę George grającą widziałam. Nie wiem, coby powiedziano u nas, żeby kobieta w podeszłym wieku, otyła niesłychanie, ledwie mogąca chodzić, ukazała się na scenie. — Tu dano jej wielkie oklaski. Nie śmiem nic wyrzec o tych dwóch sławnych aktorkach — bo ja się muszę nie znać na ich talencie, ale co teatra, powiem otwarcie, bardzo niedogodne. Dekoracye śliczne — role dobrze umieją etc.

6-go. Galeryę historyczną w Luxemburgu zwiedzaliśmy — ciekawa, wielka. Bardzo męczy takie kilkagodzinne zwiedzanie. Błoto paryskie także niemiłe do przebycia. A te obiady w restauracyach, to męka prawdziwa.

7-go. Z Panią Klaudyą jeździłyśmy odwiedzić Panią Zaliwską. Zbyt świeże są nieszczęścia w kraju, aby ich sobie rzewnie nie przypomnieć, na widok żony i dzieci Zaliwskiego.

8-go. Największa, nieporównana radość — Mąż swój portret pozwolił zrobić. Będzie bardzo podobny, tak szczęśliwie, że nawet nie widać, że niekontent, że go do tego zmuszono. O, żeby to malarz mógł cały obraz duszy jego przenieść na płótno! Ale to nic nie szkodzi. Nie widać na nim szlif, orderów, haftów — tem lepiej wyda się prosta jego dusza.

9-go. Wspaniały gmach Bursy oglądaliśmy w czasie, kiedy się interesa i sądy handlowe odbywają. Natłok ludu wielki; dobroduszny człowiek nicby tam nie zrobił. Nie brak tam i kobiet,

które lepiej jeszcze wrzeszczą od mężczyzn. Szczególniejsze jest malowanie na kopule; przysiądz można, że to rzeźba.

10-go. Wiele kościołów i teatr włoski.

11-go. Bibliotekę publiczną, gabinet starożytności etc. Gdyby umysł był wolny, korzystaćby można dużo z tego, co się widzi, ale czyż można oddać się zgłębianiu rzeczy, kiedy myśl w nieładzie.

12-go. Na sesyi Towarzystwa Dam, podobnej jak i pierwsza. Wieczorem w Teatrze Nautique zwanym — grano sztukę Wilhelm Tell.

13-go. Prawie cały dzień w towarzystwie rodaków i rodaczek. Te spory, te dyskusye polityczne, to rozdwojenie zdań, ta widoczna nienawiść jednych przeciwko drugim — smutnie się przedstawia. Zdaje się, że jeden interes mamy, jedne dążenia — lecz nie z jednego punktu bierzemy rzeczy.

14-go. Każą mi brać lekarstwo; na co się to przyda — pokoju potrzeba duszy, pociechy sercu, a zdrowie może dobre będzie. Ale daleko jeszcze od tych dwóch rzeczy jesteśmy podobno. Cierpieć i wytrwać, to jest hasło nasze.

15-go. Listy z kraju; jakże ta Gen. Sowińska pociesza mnie. Jej listy lubo często smutne zwiastują rzeczy, przecież to wszystko wiedzieć potrzeba, a obok tego wytrwania, odwagi, poświęcenia się, jest nadzieja, że nasz ciemięzca nie pognębi wszystkiego. Narodowość polska żyje!

16-go. Cały prawie dzień na pisaniu listów zszedł mi. Ona każe pisać wiele! Ograniczam się o wiele mogę — może jednak za wiele piszę tam, gdzie za jedno słowo surowo karzą.

17-go. St. Cloud, rezydencyę królewską zwiedziliśmy. Piękne miejsce: park i ogród wspaniały. Wracając, byliśmy w Bois de Boulogne — w lasku Bulońskim — wszystko to ładne, ale nie nasze. Nie można, nie podobna weselić się tam, jak inni.

18-go. Tak wielki jest upał, że w domu pozostać potrzeba.

19-go. Wielka walka, co mamy robić nadal. Znajomi, przyjaciele usiłują nas zatrzymać w Paryżu; Mąż nie chce i ja się na to zgadzam z chęcią. Ale gdzie pojedziemy, jeszcze niewiadomo. Mieliśmy do Rouen jechać na mieszkanie, ale odradzili Mężowi. Mnie wszystko jedno, gdzie sobie Mąż wybierze. — Kiedy nie w Ojczyźnie, to dla mnie wszędzie dobrze, byle Mąż był kontent.

20-go. Byłam dziś na tej sesyi Dam, na której nic dobrego zrobić nigdy nie mogę. Żaden z moich projektów niepodoba się, nie jest przyjęty.

21-go. Podobno, że do Fontainebleau pojedziemy; już pisałam o informacyę co do tego miejsca do Pułk. Różyckiego.

22-go. Dziś ślub Mickiewicza — prawdziwie poetyczny. Ożenił się z Panną Szymanowską, przybyłą z Polski.

23-go. Od końca do końca Paryż dziś przebiegliśmy.

24-go. Nie warto wspomnienia.

25-go. Na kolumnę Napoleona weszłam; jakże ona wysoka, tak jak chwała niegdyś jego. Ten sam widok, co z Panteonu, ale wejście trudniejsze.

26-go. Nawiedziliśmy chorego ziomka; mój Boże, jakże to smutno tak nie mieć zdrowia, a może i umierać. 16 już miesięcy, jak nic, prócz brudnego podwórka, na które okno jego wychodzi, nie widział.

27-go. Pierwszy dzień świąt lipcowych. Rewia; po co my kilka godzin tego Filipa po bulwarach ścigali i nogami i oczyma? On na koniu, a my pieszo i wszędzie byli. Wieczorem przypatrywaliśmy się iluminacyi grobów, na kilku placach, dla poległych w dniach, które święcą.

28-go. Nabożeństwo po kościołach.

29-go. Obszedłszy Pola Elizejskie, gdzie różnego rodzaju zabawy dla ludu, weszliśmy do domu na ulicy Rivoli i stamtąd przypatrywaliśmy się napełnionemu Ogrodowi Tuileryjskiemu, gdzie koncert exekwowano, a później wielki fajerwerk zapalono. Wracając w nocy do domu pieszo, ulewny deszcz napotkał nas i do nitki przemoczył, pogubiliśmy się — szczęściem, że Gen. Konarski, nie zważając na swe eleganckie suknie, doprowadził mnie aż do domu. Ale jakże to była przykra ta droga — po kolana woda lała się po ulicach — jedne tylko kawiarnie były otwarte, ale tam już wejść ani podobna było. — Jeszcze z godzinę, wróciwszy do domu, troszczyłam się o Męża — nadszedł przecie, przemokły także.

30-go. Suszę, czyszczę naszą odzież wczorajszą.

31-go. Otwarcie Izb — i to widzieć potrzeba i znowu cisnąć się pomiędzy ciekawych, a nie zawsze grzecznych.

1-go Sierpnia 1834 r. Zaprowadzono nas do Oleszczyńskiego. Jako artysta-malarz ma bardzo piękne zbiory różnych pamiątek narodowego bytu. Z pociechą oglądaliśmy wszystko. Tego dnia, w gronie przyjaciół, jedliśmy obiad w Palais Royal.

2-go. Sesya Towarzystwa Dam; kazano mi prezydować i nie pozwolono wymówić się z tego. Odczytano protokół, obliczono kasę. Głos pierwszy przypadł na mnie; wniosłam, aby wszystkie

Polki wezwano do Związku, że przez to uniknie Towarzystwo wielu podejrzeń, zamieni się w jedno wspólne nam uczucie etc. Bano się aprobować tego wniosku, w nieobecności X. Czartoryskiej, i zostawiono go do jej powrotu i decyzyi.

3-go. Udaliśmy się do Wersalu. Wielka, wspaniała ta rezydencya, niegdyś królewska. Położenie odpowiada sztuce z wielkim nakładem dokonanej. Małe i duże Trionon obejrzawszy — obeszliśmy ogród. O godzinie 4-tej puszczono wielkie wody. Ta mnogość ludu. te sztuczne wytryski wód coś bardzo poważnego mają. Nie długo trwa ten widok. Gdy się wszystko rozchodzić pocznie — dopiero zamięszanie, tłok, nie poznałbyś, że to ci sami ludzie, co się dopiero poważnie i spokojnie przypatrywali wodom. Wszyscy razem chcieliby wyjść, do powozu wsiąść i odjechać śpiesznie do Paryża, a to niepodobna. Dlatego nieporządek, przypadki i t. d My ledwie z wielką biedą dostać się mogli do powozu, biednego, niewygodnego, jednym koniem osób 15 jedzie etc. Biedny Mąż i tego nie znalazł i z Adamem[1]) na piechotę ruszyli; prawie razem przybyliśmy do Paryża, ale oni mniej utrudzeni, choć pieszo szli.

4-go. Fabrykę czyli wyroby Gobelinów i dywanów, w nowym guście pierwsze, przez artystów wykonywane, bo trzeba znać doskonale sztukę malarstwa, żeby kopiować wielkie, historyczne obrazy. Ciekawy ten bardzo jest zakład do widzenia.

5-go. Smutny dzień dla mnie; rocznica śmierci mego drogiego Ojca. Modliłam się w kościele, spowiadałam. O, mój ukochany Ojcze, jakże ja daleko od grobu Twego — nie odwilży go łza moja. Resztę dnia zamknęłam się w domu.

6-go. Tak nas straszą tem Fontainebleau. Coby tam tak złego być mogło? Nie z każdym się zgodzić można, a dobrem pożyciem najgwałtowniejszych pokonać ludzi. Jakiś tam ma być rodak, bardzo gwałtowny co do swoich politycznych widzeń. My się w to mieszać nie będziem — a zresztą nie musi to być dziki człowiek

7-go. Otóż i pozwolenie ministra do Fontainebleau. Żeby to przynajmniej ostatni nasz był tam pobyt. Jak to są przykre te przeprowadzania się; zanim się pozna ludzi i ludzie nas — jużci znowu jedź dalej.

8-go. Na Operze Wielkiej byliśmy — grali Don Juana; piękna bardzo dekoracya i wystawa.

[1]) Kozłowski.

9-go. Pożegnanie to bardzo także jest przykre; tak do ludzi przywyknąć, przywiązać się można.

10-go. Pakowanie — resztę wizyt — przygotowań do podróży. Nie taję, że mi bardzo przykro.

11-go. Rodacy i rodaczki odprowadzili nas do statku parowego; niektórzy aż do Charenton odprowadzili nas. Smutno było oddalać się od ludzi, którzy tyle przychylności okazali. Dzięki Ci, Boże, że w niedoli naszej dajesz przyjaciół; dozwól znaleźć ich i tam, gdzie jedziemy. — Dzień pogodny, piękne przepływaliśmy miejsca; smutne oko i myśl miała czas nad wszystkiem się zastanowić. — W 7 godzin zapłynęliśmy do Avon. Mąż wysiadł i poszedł piechotą; mnie z rzeczami dowieźli do hotelu L'Aigle noir. „Mają dużo rzeczy", krzyknął woźnica, a to już był dostateczny powód do okazania nam największej atencyi Brudna mała oberżyska, ale na spoczynek dostateczna. Choć nie było apetytu, jeść koniecznie potrzeba było dla uniknienia złego humoru gospodarzy domu. Po wieczerzy weszliśmy do ogrodu — ciemno już było — fontanna bijąca wody sama jedna słyszeć nam się dała. Tu niema ludzi, nie znamy miejsca, lepiej wrócić do siebie i zgodziliśmy się oboje na to.

12-go. Co będziemy robić? pytaliśmy się siebie. Potrzeba widzieć swoich, a więc ubrawszy się, wychodzimy. Gospodyni nasza nie znała żadnego, ale wiedziała, że jakiś Pan Antoni mieszka na ulicy Ś-go Medarda. Idziemy do owego Pana Antoniego, nie wiedząc wcale, kto on jest, ale czyż nie dosyć, że rodak; — Pan Antoni tylko co wstał z łóżka; wszystko w nieładzie u niego było, że ambarasował się na widok gości nieznanych i tak rano. Był to znany rodak Hłuszkiewicz, poseł, o którym wiele dobrego słyszeliśmy. Ten nas poprowadził do Karola Różyckiego. Jeszcze wszędzie za rano było — jam została na dole. Mąż oddał wizytę i prosił o informacyę do wyszukania mieszkania. — Przyrzekł zająć się tem i prosił Męża, abyśmy wrócili do siebie. W godzinę później przybyli prawie wszyscy znajdujący się w zakładzie Polacy powitać Męża. Po zwykłych ceremoniach, grzecznościach, udaliśmy się razem szukać owego mieszkania. Zwiedziwszy kilka domów, nie długo się namyślając, najęliśmy w tym samym domu, gdzie stoi Karol Różycki i 3 innych rodaków. Wcale nie tak, jak nam wystawiali, znajdujemy ten zakład. Są to ludzie dobrze wychowani, to już wiele znaczy w pożyciu ludzkiem. Jaka jest ich wiara polityczna, to do nas nie należy, bo dla nas każden dobry, kto szczerze kocha swą Ojczyznę.

13-go. Przeprowadziliśmy się. Już tedy w swoich kątach — na jak długo? Piękne mamy mieszkanie — uprzejmość rodaków nadspodziewana. Wieczorem zaprowadzono nas na muzykę do ogrodu, gdzie dwa razy w tydzień grywa.

14-go. Wszystko na swojem miejscu. Szczęśliwą jestem, że do moich zatrudnień domowych wracam. Mąż mi trocha słaby — bo też to nieregularne życie paryskie najzdrowszemu szkodzi. Przebiegliśmy lasy. skały — wszystko głuche, ponure — bardzo do położenia naszego stosowne.

15-go. Tu pamięć Napoleona przechowana. Tu tyle świeżych jeszcze wspomnień po nim. Dziś Gwardya Narodowa obchodzi święto jego; dają bal — Mąż zaproszony, a że to się dzieje w lasku, pod namiotem, to i ja mogę być obecną choć po za szrankami.

16-go. Ucieszyć się z losem nie mogę, po tym zgiełku paryskim, wrzawie; jak że miła ta cichość.

17-go. Piszę do Pani Hoffman, prosząc, aby mnie wykreślono z listy swego towarzystwa. Po co te czcze tytuły, kiedy realnie użyteczną braciom nieszczęśliwym być nie mogę w tem tu ustroniu. Czekaliśmy dni kilka na sesyę ostatnią, na której byłam — wniosłam trzy projekta, żaden przyjętym nie został. Pierwszy był, aby założyć Dom Zdrowia — ofiarowałam się rok pierwszy dozorować go sama, a następnie, aby z kolei, po mnie, też same obowiązki podejmowały inne siostry. Drugi był, aby założyć kuchnię polską: w porównaniu kosztów, jakie wydają na kupno biletów po restauracyach, a które potrzebnym rodakom biednym dają; taką kuchnię — dodałam — podejmuje się utrzymywać jedna familia polska w sposób następujący: aby towarzystwo najęło mieszkanie stosowne do tego, kupiło naczyń glinianych i blaszanych, stół, ceratą pokryty i kilka par noży i widelców. Kobieta albo mężczyzna — jakiś Polak, potrzebujący utrzymania się, za posługę do tejże kuchni użytym być by mógł, a familia ta podejmuje się skromne, ale zdrowe dawać jadło; z wydatków, jak najskrupulatniejsze, co dni 15 zdawać rachunki towarzystwu. „To spekulacya — odezwało się naraz kilka osób, — toby wiele kosztowało, za 16 sous towarzystwo ma bilety gotowe, bez kłopotu“. — „Ale czy kosztował który z Panów tego obiadu? — zapytałam; — co zaś jakoby w tem spekulacya jaka miała być, to się, Panowie, mylą; człowiek, któren ofiarował tę usługę, przejęty był miłością bliźniego, zysków żadnych w tym nie szukał. — kto tu zna z Panów Pułkownika Żarskiego, niech sądzi o tem.“ — „Potrzeba mu piękne podzię-

kowanie napisać“, wnieśli drudzy. „To niepotrzebne — odpowiedziałam, — dosyć mu wiedzieć, że projekt odrzucony“. — Trzeci projekt było pranie, czyli pralnia, gdzieby ludzie, bez funduszu, bieliznę swoją wypraną mieć mogli, inni za tanią opłatę i bez uszkodzenia, także tę dogodność mieli. — Pierwszy i ostatni projekt do powrotu prezesowej zostawiono.

19-go. Nikt tu nie wie jeszcze, że to święto moje i od nikogo też nie odebrałam życzeń, prócz od najlepszego Męża. Tak, on mi za wszystko wystarczy, tak jak i ja pragnę być wszystkiem dla niego. Nad wieczorem kilka przybyło osób z Paryża; wdzięcznem sercem przyjęłam ich.

20-go. Obiegliśmy z naszymi gośćmi dalekie lasy, bo tu z każdej ulicy wchodzi się do lasu.

21-go. Zwiedziliśmy Pałac; powierzchowność jego oryginalna składa się z wież, wieżyczek — jest wielka, a niema nic wspaniałego. Nazywają miejsce to zbiór pałaców. 3 wielkie ma dziedzińce, pierwszy pamiętny pożegnaniem Napoleona. Pałac Fontaineblowski zapewnie jest najciekawszym dla cudzoziemców; bardzo wiele ma pamiątek dobrze do tych czasów przechowanych; starożytne i nowoczesne rzeczy wielką mają sprzeczność z sobą — aby nie zaginęło które z malowań, rzeźb, wszystko to ma być odnowione. Bogato przybrany jest cały. Stolik, na którym podpisał abdykacyę Napoleon, ciekawie jest oglądany. Za jego czasów dla zbogacenia fabryk lyońskich zakupiono za 4 miliony kosztownych materyi, które dziś zdobią pałac ten. Masz tu do widzenia apartamenta rozmaite: cesarskie, królewskie, książęce, papieskie etc.. etc., a dawnych wspomnień mnóstwo. Tu Krystyna, królowa szwedzka, kochanka swego zabić kazała, pokazują. Tu Gabryela Pani Maintenon, tu de Sevigné coś ulubionego miała. Tu, w kaplicy, nasza Leszczyńska zaślubioną była Ludwikowi XV.; słowem szereg nieprzeliczony wspomnień. Ale nie ostatni to jeszcze raz zwiedzam ten Pałac, zapewnie.

27-go. List z Polski — dawno oczekiwany; nie dziw, że się opóźnił, bo 6 miesięcy był w drodze — w Anglii bawił. Radam mu, choć się opóźnił; wiele on zawiera szczegółów interesujących.

5-go Września 1834 r. Nowy rodzaj mam zmartwiinia; dziś coś poszukać chciałam w moim portfelu; szukam go wszędzie — niema. A więc skradziony — gdzie, kiedy? pojąć nie mogę. Przewracam, przekładam wszystko, uważam, czego mi jeszcze brakować może — jest wszystko, prócz papierów wszelkich i listów.

Trwoga wielka i kłopot; nigdzie one zginąć nie mogły, jak w Paryżu; piszę tam, aby się pytano portyera, w policyi etc.

6-go. Co mógł być za powód? Łamiemy sobie głowę. O, jakże mi też żal; tyle, od różnych osób, listów!

8-go. Szukano, badano wszędzie, w policyi nawet, ale nic dowiedzieć się nie można; przepadło wszystko: rewersa, dowody i inne ważne papiery.

20-go. Nic; donoszą mi z Paryża, że niema nadziei wynalezienia zgubionych papierów, a więc strata po stracie, aż do tego, co się nikomu na nic przydać nie może, a mnie drogie i miłe. Trudno; kiedy takie przeznaczenie, potrzeba się do niego zastosować. Anielskiej duszy i serca dobrego i ukochanego mi Męża zasmucać się nie godzi, bo on każdy żal mój i umartwienie żywo dzieli ze mną.

28-go. Cały tydzień mieliśmy gości z Paryża; dalekie kursa odbywaliśmy po całych dniach. Po wyjeździe ich coś potrzebowałam poszukać w komodzie przy łóżku Męża — osłupiałam, spostrzegłszy mój portfel i dwie paki listów, w tym samym porządku ułożone, jak i były. Nie śmiałam się ich dotknąć, nie wierzyłam oczom moim, pobiegłam po gospodynię, pytałam, czy nie wie, kto i kiedy podłożył je tu. Ale ona sama zdumiona, nie wiedziała, co myśleć. Wszyscy się na to zgodzili, że to była robota policyi; potrzebowali coś wiedzieć i przejrzeli listy i papiery. — „Ciesz się Pani, że masz je zwrócone, a o resztę nie badaj.“ — Jeżeli to nikomu szkodzić nie będzie, to dla mnie i owszem bardzo pochlebnie; podnieśli mnie w opinii mojej własnej, bo ja się dotąd za nic nie uważałam. O, cieszmy się, kiedy się już nas, kobiet, obawiają!

Dr. Józef Frejlich.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wyprawa Zaliwskiego 1833 r.

(Ciąg dalszy.)

P o d o l e.
(6 okręgów).

I.

a) powiat kamieniecki, *b*) powiat uszyński,

II.

a) powiat płoskirowski, *b*) powiat latyczowski.
okręgowy: Święcicki, major 4 p. p. l.

III.

a) powiat mohylowski, *b*) powiat jampolski,
okręgowy: Ducki, zastępca: Łoniewski

IV.

a) powiat chmielnicki, *b*) powiat winnicki.
okręgowy: Dobrowolski Józef.

V.

a) powiat olgopolski, *b*) powiat bałtawski.
okręgowy: Wernezobre.

VI.

a) powiat bracławski, *b*) powiat hajsyński,
okręgowy: Nowosielski.

Gubernia kijowska.

(6 okręgów).

I.

a) powiat kijowski, *b*) powiat radomski,

okręgowy: Porębiński, kap. 4 p. p. l.

II.

a) powiat wasilkowski, *b*) powiat skwirski.

III.

a) powiat czehryński, *b*) powiat czerkawski,

do IV., V. i VI. okręgu nie przeznaczono nikogo, są to bowiem stepy otwarte, nie przydatne do wojny partyzanckiej.

Gubernia smoleńska.

(1 okręg).

a) powiat smoleński, *b*) powiat drohobucki.

Gubernia czernichowska.

(2 okręgi).

I.

a) powiat czernichowski, *b*) powiat osterski.

II.

a) starodubowski, *b*) powiat dotykający do gub. moskiewskiej.

Do tych dwóch gubernij, t. j. smolenskiej i czernichowskiej, nie wyznaczył jeszcze Zaliwski, wyruszając na wyprawę — okręgowych; miał to uczynić później, gdyż obsadzenie tych gubernij było konieczne ze względu na ułatwienie komunikacyi z Petersburgiem.

Porozumiewać mieli się okręgowi za pomocą korespondencyi, przesyłanej sobie przez zaufanego partyzanta lub obywateli miejscowych, sprzyjających sprawie; adresowano w ten sposób n. p.: „Z okręgu grodzko-lidzkiego do białostocko-sokulskiego." Pisać miano na liście, obojętnej treści, krochmalem między liniami, list następnie zwilżyć należało wódką albo jodyną dla odczytania[1]). Raport dla głównodowodzącego, t. j. Zaliwskiego, posyłano do na-

[1]) Szymański dodaje, że ponadto listy i pakiety do sąsiadów miały być znaczone: . . . albo: . ˙ .

stępnego okręgu na zachód, znaczono je Z. L. O: („Zemsta Ludu“ Okręg: . . .)[1]).

Przed odjazdem wszyscy okręgowi wstępowali do związków węglarskich we Francyi; zaznajamiano ich ze znakami węglarskimi, aby im w ten sposób ułatwić przejście przez Francyę, Szwajcaryę i Niemcy, gdzie było wielu braci-węglarzy. Do związku węglarskiego przyjmowano w zakładach, o ile emisaryusz[2]) nie miał zamiaru przejeżdżać przez Paryż; tak wprowadził Królikowski Antoniego Winnickiego w Avignon do towarzystwa karbonarskiego na kilka godzin przed wyjazdem do Polski[3]). inni zaś zostawali przyjmowani w Paryżu do namiotu Sekwany, na którego czele stał Krępowicki[4]); ceremoniał przyjęcia odbywał się wtedy w mieszkaniu Henryka Dmochowskiego; przyjęci tam zostali równocześnie przed wyjazdem Wołłowicz, Przecławski. Michał Chodźko, Horodyński Józef, Ropelewski, Kraitzir i Zawisza.

Przedewszystkiem uczono nowoprzyjętych znaków, za pomocą których można było i na obczyźnie wśród tłumu odnaleźć i poznać brata. Ceremoniał przyjęcia bardzo ciekawy podaje w zeznaniach Winnicki:

„Królikowski przybył do domu. będącego na odległej ulicy Avignonu, wprowadziwszy mnie do sieni, zapukał naprzód 2, potem 3 razy i po pytaniu się i odpowiedzi, których nie pamiętam, odwrócił się do mnie i powiedział, że mi zawiąże oczy, na co przystałem, i po zapukaniu powtórnem wprowadził mnie do jednej stancyi, gdzie spytany został, kogo przyprowadza, odpowiedział na to stosownie, lecz tych pytań i odpowiedzi nie pamiętam; wprowadzono mnie w głąb pokoju, a jak później przekonałem się do drugiego pokoju i tam podano krzesełko. Odczytano naprzód tu przed komisyą wskazane punkta w języku francuskim. t. j.: „jesteśmy słabi i w małej liczbie, mamy nieprzyjaciół możnych i potężnych, czy chcesz do nas należeć? „Odpowiedź: „chcę“; przytem było

---

[1]) Szymanowski zeznaje, że siedlisko głównodowodzącego było nad Dnieprem: Piszczatowski również, że raporta posyłano na południe i adresowano Zemsta ludu.

[2]) Okręgowi zwani są w aktach urzędowych emisaryuszami, w istocie bowiem po upadku partyzantki spełniali w kraju rolę emisaryuszy - propagatorów swojej idei demokratycznej i wolnościowej.

[3]) Rkp. rapp. Nr. 38. Michał Chodźko: Wyprawa do Polski r. 1833, ark. I., przypisek 3. Zeznania Horodyńskiego: na dni 14 przed odjazdem był u Krępowickiego dla odebrania znaków węglarskich.

[4]) Zeznania Winnickiego.

wiele jeszcze innych punktów, na które się odpowiadało, na końcu było: „jesteśmy węglarze, ścigani i prześladowani przez despotów, czy chcesz do nas należeć?“ — odpowiedź, że chcę. Poczem odczytana była rota przysięgi, której treści nie pamiętam, lecz było, że do ostatniej kropli krwi bić się będę przeciwko despotom i bronić sprawy wolności w jakimkolwiekbądź kraju i w jakiejbądź wierze. Odczytaną rota przysięgi była mi raz przy zawiązanych oczach, później przy odwiązanych. I wtenczas policzony zostałem w poczet towarzystwa; przybrać by[łem] obowiązany sobie nazwisko, którem w towarzystwie nazywać [się] miałem, jakoteż nazwisko Mazepa przybrałem“. — O znakach tak mówi Winnicki: „Pomaski, jako mistrz obrzędów, nauczył mnie znaków, używanych przez członków, wchodząc lub witając się z kim dla poznania. Znak I.: salutuje się nieznacznie tem, co mam na głowie, czyli zdejmując z głowy prawą ręką, ciągnę po całym ręku aż do dołu; na co tamten dwa razy pociera się dwoma pierwszymi palcami od prawej reki po prawem oku, tak jakby go od zaprószenia przetrzeć chciał. Znak II.: później, podając rękę całkowitą dłonią, obejmuje dłoń przeciwnika i środkowym palcem 2 razy uderza w jego rękę, a on toż samo odpowiedzieć jest zobowiązany. Znak III.: Jeżeli zaś żądam jakowej pomocy, to zdjąwszy kapelusz lub furażerkę, prosto, przed sobą przyciśnioną do brzucha, trzymam i lewą rękę wkładam w kapelusz, wtenczas to, co tylko jest w jego mocy, wszelkiej pomocy udzielić powinien w jakimbądź względzie. Znak IV.: Po wspomnianych znakach ten, którego zaczepiłem, będzie mnie chciał doświadczać, wtenczas wpatrując się w swego przeciwnika, zakłada ręce przed siebie, gdzie prawą ręką po swej lewej nieznacznie uderza i ten mu potarciem oka, jak wyżej, odpowiedzieć powinien: poczem mówi do niego: powiedz mi pierwsze, a ja ci powiem drugie, wtenczas mówi się „prudence“, tamten odpowiada „utilité“ [1]), a obadwaj razem „activité“ i wtenczas już śmiało z sobą rozmawiają. Te trzy wyrazy zowią się słowem świętem i są niezmienione; półroczne zaś, których wtenczas tylko używać się powinno, gdybym miał wizytować poręb, a które co pół roku się odmienia. Tyle Winnicki. Szczegóły jednak tu podane, nie są dokładne, takie bowiem musiały być z natury rzeczy jako zeznania sądowe. Horodyński, prócz powyższych szczegółów, które zresztą nie zgadzają się w całości — słowa bowiem poznania

[1]) W rękopisie nieczytelne.

brzmią u niego: I. amitié, II. fraternité i III. bienfaisance[1]) — dodaje jeszcze, że nawet mieszkanie towarzysza-węglarza można było poznać po zrobionym na drzewie, obok domu rosnącym, na płocie lub drzwiach, znaku małego trójkąta[2]). Wyjeżdżających do kraju okręgowych i partyzantów przyjmowano tylko do stopnia I., więc najniższego[3]), przeto nie mogli oni tworzyć w kraju nowych porębów, t. zw. went karbonarskich, prawo to posiadali jedynie ci, którzy należeli do III. stopnia, a takich było niewielu wśród partyzantów; Szymański mówi, że zaledwie trzecia lub czwarta część partyzantów była III. stopnia, do nich bezwątpienia należał i Karol Borkowski, który następnie węglarstwo do Galicyi wprowadził. Nietylko jednak należenie do III. stopnia upoważniało do zakładania went, zwanych także namiotami, musiał ponadto emisaryusz taki być opatrzony dyplomem, wystawionym przez główny poręb paryski, upoważniającym go do samodzielnego tworzenia went i rozszerzania zasad karbonarskich.

Wprowadzając okręgowych do towarzystwa węglarskich, ułatwiano im przechód przez obce kraje, wielu bowiem nie znało innego języka, prócz polskiego; ponadto zaopatrywano okręgowych w listy polecające lub tylko adresy osób, bądź to należących do związków rewolucyjnych, więc dokładnie poinformowanych o przedsięwzięciu, bądź też przychylnych tylko sprawie polskiej i Polakom. Poleceń i adresów udzielali wszyscy wtajemniczeni w przygotowywania do wyprawy, więc Lelewel, Leonard Chodźko, Lafayette; podczas podróży znowu polecali ich jedni rewolucyoniści lub sympatycy drugim[4]).

Prócz tego byli po drodze w miastach agenci Polacy, którzy ile możności ułatwiali przechód. W samej Francyi w Lyon, gdzie się zgromadzić mieli wyjeżdżający do Polski, miał Antoni Gorecki major-poeta, Pomaski i Lewandowski zaopatrzyć wyruszających w paszporty francuskie na obce nazwiska i w pieniądze; w Szwajcaryi, o ile tędy przejeżdżano, był Klimkiewicz towarzysz węglarski[5]), w Strassburgu dr. Kozewa i Kowarski[6]); w Dreźnie czekać

---

[1]) U Szymańskiego wyrazy są również odmienne, brzmią I. grosse, II. forge, III. fraternité.

[2]) Że faktycznie na drzewach robiono znaki, dowodem Chodźko, który w ten sposób miał się porozumiewać z Wołłowiczem.

[3]) Rkp. rapp. Pamiętnik Chodźki.

[4]) Dodatek II. Spis osób, znaleziony przy Szymańskim.

[5]) Wyprawa do Polski M. Chodźki. Rkp. rapp.

[6]) Zeznania Horodyńskiego.

miał przejeżdżających wracający z Galicyi Waleryan Pietkiewicz i od dłuższego czasu bawiący tu agent kapitan Mikułowski; na granicy pruskiej przyjmował i ułatwiał przejście w Poznańskie baron Fink, Niemiec, wtajemniczony w sprawę.

Zaliwski, występując w sierpniu z komitetu narodowego dla dokończenia rozpoczętego dzieła, co teraz, gdy już czas zrealizowania jego zamiarów się zbliżał, wymagało intenzywniejszej pracy — nie usuwał się jednak mimo to z widowni publicznej, owszem starał się zaznaczyć swoje wybitne stanowisko w dotychczasowych działaniach. Do tego rodzaju, że tak powiem, reklamy, użył obchodu rocznicy drugiej powstania listopadowego. Był to już ostatni obchód dla wielu wyruszających do Polski, był więc niejako przypomnieniem, że walka, której się teraz garstka emigrantów podejmie, ma być odwetem za nieudałą rewolucyę 29-go listopada. Pod przewodnictwem wiceprezesa komitetu „en faveur des Polonais“ Lastery'ego odbył się obchód ten w Paryżu; z Polaków przemawiał pierwszy Józef Zaliwski[1]). Mowa ta była bezwątpienia jawnem i głośnem wyznaniem wiary politycznej Zaliwskiego, w imię której miał wkrótce rozpocząć „nową rewolucyę“ na ziemiach polskich. W mowie swej głosił zasady republikańskie i demokratyczne, oparte na równości wszystkich stanów; nienawiść i pogardę dla uprzywilejowanych, dla arystokracyi i tytułów niezasłużonych; — starożytni, mówił Zaliwski, nie znali nazwy na zbiór zdrady, obłudy i wszelkich niegodziwości, określili to przeto jednym wyrazem k r ó l, inne podobne występki mianowano wyrazami k s i ą ż ę i h r a b i a. Wystarczy to, aby zrozumieć, jak skrajnych przekonań był Zaliwski, który pod tym względem nie ustępował w niczem demokratom z towarzystwa demokratycznego. Uroczystości tej dostarczyło też to towarzystwo najwięcej mowców; mówił bowiem dalej w tym samym duchu, co Zaliwski, ksiądz Pułaski, wzywając do nadania wolności i ziemi chłopom, nie wahał się przytem załączyć groźby bratobójstwa, pod adresem szlachty skierowanej, w razie gdyby się ta nie chciała zgodzić na reformy. Zupełnie jednak, jakby w interesie osobistym Zaliwskiego przemawiał Czyński i użalał się, że twórcy rewolucyi nie stanęli potem na jej czele, że oni jedynie mogli ją zwycięsko zakończyć. Na zakończenie wreszcie wystąpił Krępowicki i przemówienie jego

---

[1]) Rkp. rapp. Roczniki, t. 65. Dnia 1 grudnia 1832, list majora Teofila Zabłockiego do podpułkownika Franciszka Kodurowskiego w Salins.

stanowiło *clou* obchodu. Gwałtowna mowa Krępowickiego malowała w zastraszających barwach nędzę ludu polskiego, ruskiego i litewskiego, ginącego z niedostatku i przeciążenia wprost nieludzkiego pracą; sprawcą tej nędzy, która jedynie jest przyczyną nieszczęść i upadku kraju, są panowie, szlachta. Oskarżenie to, rzucone tak bezwzględnie wobec cudzoziemców, nie było w intencyi nawet żywiołów demokratycznych i wywołało żywe niezadowolenie wśród nich i liczne protesty [1]).

Przygotowywał jeszcze Zaliwski poza swojem wystąpieniem na obchodzie inny dowód swych zasług przed i podczas rewolucyi listopadowej — była to broszura „o powstaniu listopadowem" [2]). Wartość jej historyczna omawiana już była w tem miejscu — wrażenie zaś, jakie wywołała, nie było takie, jakiego oczekiwał Zaliwski. Pietkiewicz zauważa, bawiąc w Dreźnie, gdzie go broszura doszła, że rzecz Józefa o Skrzyneckim szalenie tu oburzyła, że nie wczas, po co w porze milczał, czemu nie użył stosownie [3]). Więcej jednak było głosów oburzenia, nie z powodu nieogłoszenia jej wcześniej, ale właśnie z powodu ogłoszenia jej wogóle [4]), zbyt nieprawdopodobnemi wydawały się oskarżenia, rzucane na wodzów powstania, aby im opinia mogła na ślepo uwierzyć, zwykłą przeto rzeczy koleją zwróciła się przeciw oskarżycielowi, jego stawiając pod pręgierzem. Demokratyczny odłam emigracyi i społeczeństwa polskiego przyjął broszurę przychylnie, na tych jednak, którym ona właściwie oczy miała otworzyć, a tem samem zjednać dla sprawy, zrobiła wprost przeciwne wrażenie, cel jej przeto był zupełnie chybiony.

Agitacya Zaliwskiego i Lelewela nie przyniosła przeto pożądanego skutku, nie cała bowiem emigracya zaciągnęła się pod sztandar nowej walki, a co gorsza, nawet nie cała demokratyczna część wychodźtwa; umiarkowańsi demokraci, grupujący się koło

---

[1]) Protokoły posiedzeń Towarzystwa litewskiego i ziem ruskich; Roczniki t. 65. (Protokół 49 posiedzenia, Paryż 2 grudnia — nawet Worcell oświadczył się za protestem i sposobem gruntownego zbicia fałszów).

[2]) Rewolucya Polska 29 listopada 1830 przez Józefa Zaliwskiego; Nakładem autora. Paryż u Pinarda 1833.

[3]) List Pietkiewicza z Drezna, 26 lutego 1833.

[4]) Z. Wasilewski: Z życia romantycznego poety; Wspomnienia Goszczyńskiego, str. 28: „Broszura Zaliwskiego o powstaniu 29 listopada niemało mu zaszkodziła."

Dwernickiego i jego komitetu, zachowali się wobec przedsięwzięcia Zaliwskiego z wielką rezerwą. Wogóle wielce ciekawe jest stanowisko w tej sprawie generała Dwernickiego, stanowisko bardzo niejasne, możnaby nawet, wyprzedzając dowody, odrazu powiedzieć, że mało dla sędziwego generała zaszczytne, bo nie pewne, wahające się lub wreszcie nieszczere.

Dwernicki w połowie r. 1832 zjawił się w Paryżu, „wyrwawszy się z austryackiej pieczy“ [1]). Otaczała go sława niezwyciężonego generała, nie dziw przeto, że emigracya, w większości z wojskowych złożona, na niego swe oczy zwróciła i jego zapragnęła mieć na czele reprezentacyi narodowej na emigracyi; nie tyle było to po myśli ogółu paryskiego, ile właśnie wychodźtwa po zakładach. Lelewel ustępował więc, choć bardzo niechętnie, na plan drugi, w październiku bowiem 1832 r. ukonstytuował się już nowy komitet, na którego czele stanął generał Dwernicki. Tutaj jednak nie tyle nas obchodzi rola Dwernickiego na emigracyi wogóle, jako prezesa komitetu i jego emulacya z Lelewelem, ile jego stanowisko wobec wyprawy Zaliwskiego. Ciekawe w tej mierze są zeznania samego Zaliwskiego: Miał mianowicie Zaliwski w miesiącu sierpniu założyć osobny komitet, na którego czele stanął Dwernicki, członkami zaś tego komitetu byli: Lelewel, Zwierkowski, Worcell, Hłuszniewicz, Leonard Chodźko i Waleryan Pietkiewicz; mimo jednak, że przewodniczącym tego komitetu był Dwernicki, to jednak był komitet ten zależny we wszystkiem od Zaliwskiego, a głównym jego obowiązkiem było, po oddaleniu się Zaliwskiego do Polski, odbierać w zastępstwie Zaliwskiego wszystkie raporty z zakładów i utrzymywać listę nowoprzybywających do zakładów, następnie zaś listę tę przesłać Zaliwskiemu; ilekroć Zaliwski zażąda nowych ludzi, powinien komitet się tem zająć i ułatwiać chętnym wyjazd. Plan tego komitetu nie doszedł jednak do skutku, rząd bowiem francuski, wielu z tych członków zakazał pobytu w Paryżu, pozostał tam tylko sam Dwernicki i na nim ciążył obowiązek spełniania powyższych warunków. — Z pewnością twierdzić można, że taki komitet w istocie nie został utworzony, pewne jest tylko, że Dwernicki o gotującej się wyprawie był poinformowany i że jej początkowo sprzyjał. Leonard Chodźko [2])

[1]) Zdanie sprawy str. 155.

[2]) Borkowski, Pamiętniki. L. Chodźko do E. Wodzińskiego, Tours 31 sierpnia 1833. W innym liście z Tours 29 czerwca 1833: „Dwernicki wykręca się jak Piłat w Credo; co innego przyrzekał Zaliwskiemu, a co innego teraz gada i pisze.

zaznacza to kilkakrotnie w liście do Wodzińskiego, gdzie między innemi tak mówi: „Przed wyjazdem swoim z Paryża Zaliwski był u Dwernickiego, opowiedział swoje zamiary i jenerał przyrzekł mu uroczyście, iż jeżeli nie będzie mógł dopomagać swą osobą, to podziela zamiar, błogosławi przedsięwzięciu i w żadnym razie nie przyłączy się do przeciwników tej wyprawy ani słowem, ani piórem, ani drukiem". Z listu tego wynika, że Dwernicki o gotującej się wyprawie dowiedział się dopiero przed opuszczeniem przez nią Francyi, więc w grudniu 1832, lub styczniu 1833, zeznania przeto Zaliwskiego, jakoby już w sierpniu utworzył komitet pod prezydencyą Dwernickiego, jest nieprawdziwe, dalej, że Dwernicki czynnej pomocy nie przyrzekł, tylko zapewnił o swej życzliwości: że nawet w grudniu lub styczniu komitet taki nie mógł być założony, skoro o swojej rozmowie prywatnej z Dwernickim zawiadomił dopiero przyjaciół swoich i adherentów. Jakkolwiek jednak było, to przecież dalsze postępowanie Dwernickiego było nieszczere, było złamaniem danego przyrzeczenia, że ani słowem, ani piórem, ani drukiem wyprawie przeszkadzać nie będzie; w chwili bowiem, kiedy członkowie wyprawy opuszczali granice Francyi, Dwernicki, już nie pomny na życzliwość przyrzeczoną Zaliwskiemu, zmienia swoje zdanie o wyprawie, przerażony jej „przedwczesnością". Nie wchodząc w to, czy zapatrywanie generała było słuszne, zaznaczyć należy, że powziął je Dwernicki nieco *post factum*, ta akcya przeto, której się podejmie obecnie celem udaremnienia wyprawy, z jakichkolwiekby ona wypływała pobudek, postawić musi generała w świetle niepewnem, wahającem się, dwulicowem. W istocie bowiem, dni kilkanaście po solennych przyrzeczeniach, wysłał Dwernicki dla udaremnienia zamiarów Zaliwskiego swoich agentów, z których jeden, major Dominik Buleski (Boleski), żadną miarą nie zasłużył na zlecenie mu podobnej misyi, jako indywiduum wielce podejrzane i bardzo lichego charakteru[1]). Przybył

[1]) Z zeznań Zaliwskiego: Dominik Buleski, major 2-go pułku strzelców pieszych, podczas rewolucyi komendant załogi w Zamościu, służbę wojskową odbywał od r. 1809, jeszcze jako kapitan w 5-tym p. l. zdefraudował pieniądze kompanii, przegrał je w karty i na hulankach zmarnował. Za te sprawki miał być nawet z wojska usunięty, otoczyła go jednak przemożna opieka Wielkiego Księcia, co w sferach wojskowych wznieciło podejrzenie, że Buleski jest szpiegiem. Mimo, że podejrzenia tego nie udowodniono, to pozbawiło ono jednak Buleskiego awansu, całą bowiem kampanię z 1831 r. odbył w randze majora jako komendant twierdzy Zamościa aż do jej wzięcia przez Moskali. Następnie udał się do Galicyi, gdzie do końca r. 1832 przebywał.

Buleski z końcem r. 1832 do Paryża z Galicyi, gdzie po rewolucyi przebywał, mieniąc się wysłannikiem komitetu (o czem dalej obszerniej) — to jednak zaprzeczyć się nie da, że zakrzątał się tu Buleski dość zręcznie, skoro mu się udało w rozmowie z Zaliwskim dokładnie poznać jego zamiary i plan przedsięwzięcia. Plan ten nie spotkał się jednakowoż z uznaniem Buleskiego, zwrócił się przeto do Dwernickiego i w ten sposób potrafił mu sprawę przedstawić i wyperswadować, że łatwowierny i dający sobą powodować generał odrazu zmienił swoje zdanie, a nawet poruczył Buleskiemu misyę przeciwdziałania zamiarom Zaliwskiego. Prócz Buleskiego wyjechali do Galicyi, również przez Dwernickiego wysłani: Apolinary Nyko[1], Ludwik Tarszeński[2] i Roman Czarnomski.

Emisaryusze Dwernickiego spotkali się w swoich działaniach z innym wysłannikiem emigracyi, którego cel był również jednaki: przeszkadzanie przedsięwzięciu Zaliwskiego; mimo bowiem, że właściwa jego misya nie została w ten sposób określona i była na razie zupełnie odmienna, to ostatecznie i ona skierowała się przeciw Zaliwskiemu; — był to wysłannik partyi arystokratycznej Józef Świrski. Ludomir Gadon[3], historyograf niejako partyi Czartoryskiego, zaprzecza stanowczo, jakoby ta cośkolwiek o wyprawie wiedziała, że temsamem przeciwdziałać jej nie mogła; dziwnym jednak zbiegiem okoliczności właśnie w tym samym czasie, kiedy partyzanci odbywali swą wędrówkę ku Galicyi i W. K. Poznańskiemu — partya arystokratyczna w tę właśnie stronę skierowała swoją uwagę.

Działalnością księcia Adama Czartoryskiego nie zajmowaliśmy się zbytnio w tej pracy z tej jedynie przyczyny, że stała ona zdala od kuźni tych wydarzeń, o których tu mowa; z pogmatwanych dziejów emigracyi należało jedynie wyeliminować to, co najbliżej stało wyprawy Zaliwskiego i przygotowań do niej. W chwili jednak jej rozpoczęcia i przeniesienia się na inny teren i działalność Czartoryskiego zaczyna wchodzić w jej zakres. Właśnie bowiem w tym czasie, bo 26 stycznia 1833, zorganizowało stronnictwo arystokratyczne w Paryżu, coś w rodzaju tajnego towarzystwa, pod nazwą „Stowarzyszenia jedności narodowej“, z pro-

[1]) Nyko, kapitan 1-go pułku lin. (według Gadona, major).

[2]) lub Tarszyński — porucznik krakusów zamojskich; galicyanin. później przeszedł do korpusu Dwernickiego (zeznania Białkowskiego) według Gadona, major (Emigracya, t. II., str. 267.).

[3]) Emigracya Polska, tomów 3, str. 269—70, t. II.

gramem, obejmującym: utrzymywanie ducha narodowego we wszystkich ziemiach polskich. Był to więc wyraźny zwrot w dotychczasowych przekonaniach kierownika tego stronnictwa księcia Adama Czartoryskiego; zrozumiał on po nieudałych zabiegach w gabinetach ministrów, że niewiele „od rządów spodziewać się można i że z nas samych odżyje tylko nadzieja i z okoliczności od ludzi niezawisłych".

Była to zupełna na razie kapitulacya księcia Adama z planów dotychczasowych. Dla wprowadzenia w czyn idei, zawartej w programie „jedności narodowej", propagowania jej i jednania zwolenników, wysłano dwóch emisaryuszy. Michał Rola Skibicki miał polecenie udania się do Galicyi, drugi zaś Józef Świrski (poseł Hrubieszowski, mianowany następnie ministrem spraw wewnętrznych w Zakroczymiu) — miał misyę do W. K. Poznańskiego. Skibicki, który już w lutym 1833 wyjechał z Paryża, nim jeszcze stanął u kresu, został listami gończymi policyi paryskiej z powodu brzydkiej afery pieniężnej napowrót ściągnięty i aresztowany — polecono przeto, bawiącemu jeszcze w Paryżu Świrskiemu, aby podróż swą skierował do Galicyi na miejsce Skibickiego, co też Świrski w istocie uczynił, wyjeżdżając z Paryża dnia 6 marca 1833 [1]. Poprzednio jeszcze wysłany został przez partyę arystokratyczną niejaki Leski [2], jaka była jego misya, nie wiadomo, Gadon nie wie o niej zupełnie, natomiast partya lelewelowska utrzymywała, że cel jego wyjazdu dotyczył wyprawy Zaliwskiego, ponadto domyślano się coś niecoś o misyi „dyplomatycznej" jego i Świrskiego [3]. — Tak więc wysłanie tych emisaryuszy, choćby w istocie w samym zarodzie nie miało na celu przeciwdziałania wyprawie Zaliwskiego, to jednak przez równoczesne zjawienie się ich w Galicyi i rozpoczęcie akcyi w innym kierunku było bezprzecznie niekorzystne dla partyzantki.

Wysłannicy Dwernickiego z pospiechem podążali śladami emisaryuszy Zaliwskiego, niejednokrotnie ich wyprzedzając, a wszę-

---

[1]) Gadon, Emigracya. T. II., rozdział XVIII. i XXII.

[2]) Rkp. rapp. Roczniki polskie, t. 67. List Zwierkowskiego do Lelewela, Paryż 25 lutego: „Nasi panowie aristokraci wysłali Leskiego, potem Skibickiego, a teraz jedzie Świrski (Józef), który ma już paszport przez ambasadora austryackiego podpisany."

[3]) T. 69. List Zwierkowskiego do Lelewela. Nancy 23/IV 1833. „Leski Józef jakieś dyplomatyczne powiózł korespondencye do Galicyi i Świrski."

dzie nawet po drodze starali się szkodzić zamiarom Zaliwskiego [1]). „3-go marca — pisze Pietkiewicz — przelecieli tu extrapocztą, własnym koczem, za wyłudzone pożyczką u Niemców pieniądze, Buleski, Nyko, Tarszeński i Czarnomski. Napastowali wszystkich o pieniądze, łajali, straszyli strzelaniem w łeb to sobie, to innym. Pisali i prawili grubiaństwa, to obietnice zacnej i czcigodnej Klaudynie Potockiej, słowem postępowali najniegodziwiej. Dziś przecie mieli wyruszyć, a może się skryli *incognito* w innym hotelu. Wytwarzali i piorunowali na Józefa (Zaliwskiego) i całą rzecz, pletli, paplali, wszystkim się spowiadali ze swoich zamiarów, zasłaniali się poleceniami Dwernickiego. Jeśli tak jest, to się omylił starzec, wybierając agentów, a kiedy znając, dał im polecenia tak przeciwne temu, o czem wie, to bardzo brzydko. Wreszcie postępowanie ich tu nikczemne, brzydkie i nierozsądne. Kto ma ważne rzeczy na celu, inaczej postępuje.“ [2]) Argumentem Buleskiego przeciw Zaliwskiemu i partyzantom było, że celem ich jest przedewszystkiem rżnięcie szlachty nie powolnej ich żądaniom; w ten sposób spodziewał się Buleski oddziaływać na szlachtę i powstrzymywać ją od dawania pomocy partyzantce. — Krok Dwernickiego był więc nierozsądny, bo spóźniony, tłumaczyć go można jedynie tem, że przeciwdziałanie wyprawie na emigracyi było bezcelowe z powodu wielkiego entuzyazmu dla niej, a także tajemniczości, jaka ją otaczała przez czas długi; — sfery bowiem, stojące zdala od kuźni planów rewolucyjnych, zostały o nich powiadomione w chwili, kiedy jawną już była po części wyprawa, a więc w przeddzień jej wyruszenia z Francyi.

Wyprawa więc miała niejedną przeszkodę do zwalczenia — przeszkody to były moralnej i materyalnej natury, a te ostatnie były na razie o tyle cięższe, że bliższe, że od nich właśnie zale-

[1]) Zeznania Buleskiego w sądzie krym. lwowskim. Nie tylko po drodze, ale już we Francyi rozpoczął Buleski swoją akcyę, jak świadczą jego zeznania. „Wyjechawszy przy końcu lutego lub też z początkiem marca z Paryża w r. 1833, miałem polecenie od Dwernickiego, by powstrzymać działanie na emigracyi, pojechałem do Bourges, gdzie z jenerałem Wronieckim i pułkownikiem Różyckim tudzież pułk. Janowiczem mówiłem, a Różycki dawał mi słowo honoru, że z zakładu żaden do partyzantki należeć nie będzie. Potem jeździłem do Dijon i Besançon, skąd już wielu było wyjechało. Tu mówiłem z braćmi Pinińskimi i tak ich, jakoteż około 50 nakłoniłem, że do planu Zaliwskiego nie przyłączyli się.

[2]) Rkp. rapp., list Pietkiewicza do Zaliwskiej, Drezno, 7 marca 1833 r.

żało uczynienie pierwszego kroku dla urzeczywistnienia planów, mianowicie przekroczenie granicy francuskiej. Było to niemożliwe bez pewnych na obce nazwiska wystawionych paszportów, opatrzonych ponadto konieczną wizą ambasad krajów, do których owe paszporty opiewały, prócz tego konieczne były fundusze, któreby umożliwiły podróż na wschód ciągnącym „żorawiom“ [1]).

Punktem zbornym, przekraczających granicę, był Lyon, gdzie właśnie mieli okręgowi i partyzanci otrzymać przygotowane już na ten cel paszporty i pieniądze. Ale już pierwsza grupa, przybyła do Lyonu, nie zastała nic z przyrzeczonych przygotowań. Stefan Gecołd, jeden z emisaryuszy, zeznał, że przybywszy 12 stycznia 1833 razem ze szwagrem Zaliwskiego, Stefanem Szpekiem, do Lyonu zastał tam już około 60 przybyłych, którzy prawie wszyscy pochodzili z zakładu Aviniońskiego. Podporucznik Pomaski miał przygotować paszporty; ale daremnie czekano na to 5 dni, gdy szóstego dnia około dwudziestu zniecierpliwionych zebrało się w kwaterze Wodzińskiego, ekskapitana 4-go pułku liniowego. Pomaski, wezwany tu do wytłumaczenia przyczyny zwłoki, opowiedział, że Francuzi, którzy przyrzekli wystarać się o paszporty dla wyprawiających się, zwlekają z ich dostarczeniem, tłumacząc się tem, że niepodobna wystawić tak wielkiej ilości paszportów odrazu bez zwrócenia na to uwagi rządu. Rząd zaś faktycznie był już zwrócił uwagę na owe masowe zgromadzenie się Polaków w Lyon tembardziej, że rozeszła się pogłoska, jakoby przygotowywano tam jakoweś rozruchy. — Na owem przeto zgromadzeniu (wedle innych zeznań u Stanisławskiego) Pomaski sądził dalej, że grożącemu ze strony rządu niebezpieczeństwu w ten tylko sposób zaradzić można, jeżeli część tylko zgromadzonych w Lyonie Polaków, mianowicie okręgowi, wyruszą do Polski, inni zaś. t. j. zwerbowani przez okręgowych partyzanci, będą zmuszeni zostać i zaniechać na razie zamiaru udania się do Polski [2]); faktycznie też wielu wróciło napowrót do swych zakładów. Pierwsi bez paszportów ruszyli: Dziewicki, Sperczyński, Zalewski i Wroński. Dla pozostałych postarano się wreszcie o nieco paszportów. Takie same trudności były z pieniędzmi, których również mimo przyrzeczeń nie przygotowano w Lyonie; skoro się jednak znalazły paszporty, użyczył bazar Lyoński na usilne staranie się Goreckiego 1000 fr., ponadto

---

[1]) Tak nazywał Lelewel partyzantów.

[2]) Zeznania Jankowskiego.

dało jakoby czterech obywateli francuskich[1]) 4000 fr., chociaż te ostatnie subsydya są wątpliwe; według Giecołda bowiem miał się raczej żalić Gorecki, że nawet te 4000 fr., które mu przez pewnego bankiera zdeklarowane zostały, skrewiły, a cały fundusz wynosił 1000 fr., które uzyskał bazar ze składek pieniężnych. Z tych pieniędzy kilku wyprawiającym się dano po 150 fr. Zdaje się jednak, że jakaś suma musiała być na ten cel przygotowana, skoro każdy, nietylko kilku z okręgowych, dostawał po 150 fr., a jak wiemy z listy wystawionej przez prefekturę Rodanu[2]), 31 wyszło w dniach 16, 22 i 24 stycznia z Lyonu, prócz tego poza tą liczbą opatrzonych paszportami, wielu wyjechało bez paszportów, przekradając się przez granicę francuską do Szwajcaryi, jak Szpek koło St. Maure, opatrując się dopiero w Szwajcaryi w paszporty na cudze nazwiska, jako kupcy i fabrykanci[3]). Według Szymańskiego, pieniędzy dostarczyło opiekujące się wyprawą towarzystwo karbonarskie i wolnomularskie, skarbnikiem był Oborski, mistrz dwóch lóż w Besançon, na ręce jego wpływały też składki na ten cel. Zaliwski, jak już wspomniano, również mówi o składkach specyalnych na cele założonego „towarzystwa partyzantów“, w innem znowu miejscu zeznaje, że zasiłków pieniężnych na partyzantkę nie miał żadnych, tylko Antoni Górecki, posiadający rozległe stosunki we Francyi, przyrzekł, że zbierze, ile będzie mógł pieniędzy dla udających się z Avignon do Polski, w istocie rozdał w Lyonie kilka tysięcy franków. Suma 150 franków, otrzymana w Lyonie, była zbyt mała, aby mogła starczyć na odbycie tak dalekiej podróży, trzeba było po drodze apelować do wsparć, których udzielano dość skąpo. Tak przyszedł partyzantom z pomocą Klimkiewicz w Szwajcaryi, Mikułowski i Klaudyna Potocka w Dreźnie, zasiłki te były jednak mimo wszystko bardzo niewystarczające, skoro musiano podróż odbywać więcej pieszo niż końmi. Taka podróż musiała oczywista trwać dłużej niż obliczano, kiedy dopiero w pierwszej połowie marca zjawiać się zaczęli pierwsi partyzanci w Galicyi.

Tej garstce jednak, gotowej na wszelki trud, brakło nie tylko pieniędzy, była ona pozbawiona także i odzieży. Mały żołd, wypła-

---

[1]) Zeznania Jankowskiego: udzielić miał pieniędzy między innymi niejaki Braun, obywatel francuski.

[2]) Rkp. rapp. Roczniki, t. 66, styczeń 1833. „Liste des Polonais qui on obtenis des passeports à Lyon“. Dodatek III.

[3]) Zeznania Szymańskiego Marcelego.

cany przez rząd francuski wojskowym polskim w pewnym stosunku do stopnia wojskowego, piastowanego w czasie rewolucyi, nie wystarczał często na skromne życie tylko, w inne potrzeby musiało opatrywać wychodźców miłosierdzie, które nie mogło jednak w zupełności zadość uczynić wymogom. W daleką przeto puszczający się drogę, podczas zimy potrzebowali ciepłej odzieży i obuwia, ktore w pieszej wędrówce szybko ulegało zniszczeniu [1]) i o to należało się postarać. Ci jednak, którzy byli wyznaczeni z ramienia przygotowujących wyprawę nie spełnili swego zadania, przybywający bowiem do Lyon nie zastali nic przygotowanego, tracili przez to dnie na próżnowaniu, wywołując ponadto podejrzliwość u władz. Nieco spokojniej i z mniejszemi przeszkodami wyjechała część ochotników wprost z Paryża, byli to: Zenon Świętosławski, Artur Zawisza, Stanisław Ropelewski, Leon Przecławski, Michał Wołłowicz, Józef Horodyński. dla nich wystarał się o paszporty i pieniądze Franciszek Chyczewski, również jeden z wtajemniczonych w wyprawę. Rozpoczęło się to wychodźtwo z Francyi mniej więcej od połowy stycznia 1833 i pociągnęło się do lutego [2]).

Trudno powiedzieć, że wszystkich wyjeżdżających powodowała do tego kroku czysta idea, chęć czynu tylko, byli tam wśród nich i awanturnicy, krzykacze, którzy nie rozumieli działania bez rozgłosu, którzy nim jeszcze krok uczynili w tej sprawie, już ogłaszali w pismach, „że oni są republikanie". „Wśród takich rozgłoszeń, pisze w odpowiedzi rada avignońska do Bourgan [3]), kilkudziesięciu z nich wyjechało w różne strony, po największej części do Lyonu, rozgłosiwszy jeszcze, że jadą robić rewolucyę, krok ten zwrócił baczenie rządu, wszędzie zaczęto ich ścigać, kilku już przyprowadzono do zakładu żandarmami, wielu z nich jeszcze nie powróciło." Rząd ukarał uciekinierów w ten sposób, że przeniósł ich

---

[1]) Rkp. zap. roczniki T. 67. List Fr. Chyczewskiego do Lelewela. Paryż 14 lutego cytuje list Klimkiewicza... „prócz tego (tj. pieniędzy) miałem jeszcze inne wydatki na jadących. I tak Karolowi Borkowskiemu kupiłem buty, Piotrowi Jankowskiemu oddałem mój surdut i spodnie, Żaboklickiemu kupiłem spodnie...".

[2]) T. 67. List Lelewela do Zwierkowskiego — Lagragne Lafayette 13 luty 1833. „Siedmiu z Paryża wyjechało: proszę o ich imiona, nie wszystkich znam." Według zeznań Zaliwskiego do maja mieli pojedynczo wyruszać do Polski, następnie mógł tylko Zaliwski nowych zażądać posiłków.

[3]) Roczniki T. 67. Rada Polaków w Avignon na list Rady Polaków w Bourges z d. 6 lutego, tłumacząc nieporozumienia avinionskie. Avignon 23/II. 833.

do Bergerac, które odtąd stanowiło osobne depôt. Wskutek tego teraz właśnie zaczęła się rozpraszać emigracya. Wkrótce także większość zakładu w Besançon wyruszy na pomoc zrewolucyonizowanym Niemcom, aby jednak osiąść tylko w Szwajcaryi, a następnie, po wzięciu udziału we włoskiej wyprawie Ramoriny, pójść w zupełną rozsypkę. Rząd francuski bowiem rad najzupełniej, że się pozbył tego żywiołu, zamknie przed powracającymi granicę.

Tak więc jedna z największych trosk Lelewela, polegająca na tem, aby niedopuścić do rozproszenia się emigracyi, walka, którą toczył przeciw zamiarom utworzenia legionu lub zaciągnięcia się w obcą służbę, byle tylko utrzymać emigracyę w całości w granicach Francyi, rozbiły się o jego własne działanie; stało się ono, wbrew woli Lelewela, początkiem rozprzężenia się emigracyi polskiej we Francyi, a Lelewel, prezes jej komitetu, musiał jako jeden z pierwszych opuścić najpierw Paryż, a następnie zupełnie Francyę i przenieść się do Belgii.

Rząd bowiem, podniecany zapewne przez obce ambasady, zaostrzył rozporządzenia wobec wychodźców i w tym celu wystosował odezwy do prefektów, tyczące się sprawy emigrantów [1]), a ograniczające ich swobody, zezwalające nawet na użycie ostrych środków, jak powyżej wykazano, mianowicie aresztowania, nie opatrzonych dostatecznymi dokumentami. Ale wtedy, kiedy ze strony rządu francuskiego miały miejsce takie represye, garstka partyzantów przekroczyła już była dawno granice Francyi i odbywała żmudną, trudnościami najeżoną drogę na wschód.

Zaliwski do 17 stycznia bawił jeszcze w Paryżu, od dłuższego już czasu nagabywany przez policyę o wydalenie się ze stolicy, podpis jego widniał bowiem na owej odezwie do Rossyan, która tak głęboko dotknęła Pozzo di Borgo, iż zażądał ukarania przestępców. Zaliwski otrzymał z końcem listopada rozkaz opuszczenia Paryża i udania się do zakładu w Besançon, gdy odmówił posłuszeństwa temu żądaniu władz, miało nastąpić aresztowanie i przymusowe wywiezienie z Paryża. Udaremnił to jednak atak apoplektyczny Zaliwskiego, spowodowany rozpaczą, że właśnie w chwili, kiedy tkwił po uszy w pracach przygotowawczych, rząd chce go z Paryża usunąć. Zaledwie jednak wrócił do zdrowia, został o świcie w łóżku aresztowany i odprowadzony do więzienia l'Abbei zupełnie skrycie, by uniknąć rozgłosu. Rzecz jednak, mimo tych spo-

[1]) Rkp. rapp. Roczniki. T. 67. List Meynarda, prefekta des Indres, do mera z Chateauroux; Chalon, 11 lutego 1833.

sobów, wyszła na jaw i szybko się rozgłosiła, a zebrany tłum zmusił nawet marszałka Soulta do cofnięcia rozkazu [1]. Tak następowano prawie, że tak powiem na pięty naczelnikowi wyprawy, przed wyjazdem jego ze stolicy. Chętnie też udzielono mu paszportu, gdy wyruszał w podróż razem z Henrykiem Dmóchowskim przez Besançon do Szwajcaryi. Tu opatrzyli się w nowe paszporty, Dmóchowski na imię Sandersa, agenta handlowego, Zaliwski zaś, jako służący jego; nie znając bowiem dobrze ani języka francuskiego, ani niemieckiego, musiał podróż odbywać w towarzystwie, znającego te języki, Dmóchowskiego. Paszport wizowała ambasada austryacka do Cieszyna. W Zurychu spotkał Zaliwski wielu okręgowych, zdążających tą samą drogą, a tem samem zwracając na się uwagę szpiegów, rojących się wszędzie po drodze. Byli to okręgowi: dwaj Białkowscy, Łubieński, Żaboklicki, Szpek, Gecołd, Borkowski, Jankowski, Chodźko, Zalewski, Egersdorf i inni. Zaliwski był pełen animuszu, wiele przyrzekał sobie z wyprawy, przed okręgowymi, z którymi się zeszedł w Zurychu, przechwalał się, że sześciu ich potrafiłoby już wyprawę poprowadzić i wykonać. Okręgowym na razie jako miejsce spotkania wskazał Tarnów, gdzie ich będzie czekał [2]. Ale Zaliwski, również jak inni, niezbyt szybko odbywał podróż, kiedy dopiero 4 lutego wyjechał z Zurychu; nie spieszył się Zaliwski, mimo, że od 22 stycznia czekał na niego w Dreźnie powracający z Galicyi Pietkiewicz; należało się bowiem porozumieć i odebrać relacyę ze stosunków w Galicyi, z poczynionych tam przygotowań. Niecierpliwił się przeto bardzo Pietkiewicz i skarżył się przed Lelewelem, że Zaliwski z Dmóchowskim, jak „na żółwiu jadą“ [3], skoro z Zurychu wyjechawszy 4-go, nie byli jeszcze 18-go w Dreźnie.

Zaliwski tymczasem podążał przez Bawaryę, przejeżdżając miasta Lindau, Augsburg, Ratysbonę i Bayreuth. Z Pietkiewiczem miał się zjechać w Cieplicach, nie zaś w Dreźnie, jak początkowo planowano — widocznie jednak znówu plan ten zmienił, skoro w zeznaniach utrzymuje, że zatrzymał się w Dreźnie, gdzie prócz Pietkiewicza, widział także i Mikułowskiego, któremu usilnie polecił przejeżdżających przez Drezno partyzantów. Nie wiadomo, jak brzmiało sprawozdanie Pietkiewicza, czy zgadzało się ono z rze-

---

[1]) Zeznania Zaliwskiego przed Krausem, radcą gubernialnym, 1015/999, 10 września 1833.

[2]) Zeznania Gecołda.

[3]) List Pietkiewicza, Drezno 18/II. 833.

czywistym stanem rzeczy, czy też Pietkiewicz sprawę przesadził i przedstawił ją w odmiennem lepszem świetle. Nie ulega bowiem wątpliwości, że załatwienie przez Pietkiewicza poleconej misyi wpłynęło w wielkiej mierze na losy partyzantki, jeżeli przeto raport, zdany Zaliwskiemu, był niezgodny z rzeczywistością, to część winy późniejszych niepowodzeń spaść musi i na agentów Zaliwskiego, w tym wypadku głównie na Pietkiewicza. którego obowiązkiem było ostrzedz Zaliwskiego, przez wierne z prawdą przedstawienie sprawy. Wiele świadczy za tem, że Pietkiewicz w zbyt pięknych kolorach malował Zaliwskiemu usposobienie Galicyi. „Pełen brylantowych nadziei, ufny w pomyślne skutki mych starań i Twoich życzeń. po wielu trudach i niebezpieczeństwach stanąłem tu wczoraj“ — pisze Pietkiewicz do Lelewela zaraz po przybyciu z Galicyi do Drezna [1]). Wprawdzie w tym samym liście wyraża dalej sąd. „że Józef i jego projekta dorywcze, niedowarzone, bez podstawy, wiele rachub płonnych“ — to jednak wyraził sąd ten nie na skutek doświadczeń w Galicyi, tylko wiadomości paryskich, które go w Dreźnie doszły. Zaliwski bawił w Dreźnie 3 dni i pełen otuchy, na skutek relacyi Pietkiewicza, ruszył ku granicy czeskiej do Switawy (Zwittau); zupełnie o paszport nie nagabywany, przekroczył swobodnie granicę [2]) Austryi, obrawszy następnie drogę przez Cieszyn do Galicyi. W Białej przeszedł Zaliwski z Dmóchowskim granicę Galicyi mniej więcej około 15 marca 1833.

Taką marszrutę, jak Zaliwski, obrali prawie ci wszyscy, którzy przez Galicyę mieli wkroczyć do Królestwa Polskiego. Idący w Poznańskie, obierali w Dreźnie inny kierunek, mianowicie ku granicy pruskiej, mając w tym celu polecenie do mieszkającego na granicy pruskiej barona Finka [3]); w Poznańskiem zaś przyjmował okręgowych hr. Mielżyński, właściciel wsi Kobierni. Wskazówek i poleceń tych udzielali w Dreźnie Pietkiewicz i Mikułowski.

Droga z Francyi była dla okręgowych bez wątpienia uciążliwa z powodu braku pieniędzy, należy jednak podnieść, że przejeżdżający Polacy prawie wszędzie doznawali gościnnego przyjęcia, szczególnie w Szwajcaryi, gdzie obywatele bezinteresownie przewozili ich z miejsca na miejsce [4]). Ciekawe jest również, że ani na granicy austryackiej, ani pruskiej nigdzie nie zapytywano okrę-

[1]) Drezno, 23 stycznia 1833.

[2]) Z jarmarku z Świtawy wracała wielka ilość bryk, przeto nie trudno było niespostrzeżenie dostać się przez granicę.

[3]) W Lusanu (?) według zeznań Horodyńskiego i Szymańskiego.

[4]) Według zeznań Giecołda.

gowych o paszporty; czyżby rządy, poinformowane o celu wyprawy, z umysłu nie wykonywały tych formalności, byle tylko zwabić „najgoretsze i najniespokojniejsze głowy do Polski“. Pietkiewicz użala się wprawdzie, „że staraniem widać dostojnych mężów są tu nadesłane rejestra osób z Francyi; żandarmy po drodze zapytują z nich podróżnych, czy nie Polacy i dokąd?“ jednakowoż z całą pewnością twierdzić nie można, że wyprawa Zaliwskiego znaną była już wówczas rządom, a nawet, jak chce Berg [1]), była w ich intencyi i dziełem ich podżegaczy. Rząd bowiem rossyjski przedewszystkiem, według niego, wszelkiemi siłami starał się o ściągnięcie emigracyi napowrót do kraju. Byłaby więc cała wyprawa dziełem prowokatorów tylko i dlatego rządy z obojętnością patrzyły na wszystko i zdawały się nie widzieć przekroczenia granicy i wejścia do ich krajów okręgowych. Gadon [2]) przypuszcza, że w istocie mogła tu odegrać rolę i prowokacya, Berg bowiem, mając możność czerpania z tajnych archiwów rossyjskich, mógł coś o tem wiedzieć. Faktycznie zadziwić musi, że niektórzy okręgowi w jasny dzień most na Wiśle w Białej przekraczali, nie zatrzymywani przez nikogo, a jednak mimo to zdaje się, że rządy zostały poinformowane o wyprawie dopiero kilka tygodni później. Donosi bowiem Pozzo di Borgo Tatiszczewowi, ambasadorowi rossyjskiemu w Wiedniu, pod datą 19 kwietnia (1 maja) 1833 roku o wyruszeniu emisaryuszy z Francyi, przypisując im zamiar zamordowania cara. Przesłał on ponadto listę wyszłych już okręgowych z Francyi, udzieloną mu przez policyę paryską.

Informacyj tych udzieliło mu ministerstwo francuskie, zaś Tatiszczew miał te wiadomości zakomunikować kanclerzowi Metternichowi [3]). Nie świadczy to jednak bynajmniej o tem, jakoby rząd rossyjski o gotującej się wyprawie wiedział, a nawet na nią wpływał; przyszła bowiem wiadomość wówczas, kiedy oddziały partyzanckie od dawna już były przeszły granicę Królestwa, a nawet w znacznej części poszły w rozsypkę i wpadły w ręce bądźto rossyjskie, bądź austryackie. Spóźnione także wobec tego były przestrogi hrabiego Sedelnitzky'ego ministra policyi w Wiedniu, pod adresem władz galicyjskich skierowane z dnia 19 maja 1833, że gdyby osoby na spisie przez Pozzo di Borgo wykazane, „mimo su-

---

[1]) Berg: Zapiski o polskich zagoworach i wozstaniach. Pozn. 1833, T. I., str. 24.

[2]) Gadon: Emigracya. T. II., str. 251.

[3]) Arch. namiestnictwa 593/999, fas. II., 1833. Dodatek IV.

rowego zakazu przepuszczenia tych indywiduów przez c. k. kraje austryackie", zdołały przedostać się do granicy Galicyi, należy ich do Galicyi nie wpuścić i zatrzymanych poddać ścisłej rewizyi.

Wynika z tego, że rządy miały wprawdzie wiadomość o wyprawie, ale już wówczas, gdy była faktem dokonanym, nie można jednak z całą pewnością i nadal twierdzić, że tajne archiwa nie mieszczą w sobie innego rozwiązania tej zagadki. Jedno tylko nie ulega wątpliwości, że intencye Zaliwskiego były w tej sprawie najzupełniej czyste i ani na chwilę nie mogą ich osłabić dwuznaczne porównania „Kroniki" [1]) i postawienie jego nazwiska w szeregu dowiedzionych zdrajców, jak Dąmbrowskiego, Szaniawskiego, Rożnieckiego i Krukowieckiego. Pomysł ten, jakoby wyprawa była od pierwszej chwili znana rządom, a nawet po ich myśli, powstał na emigracyi równocześnie z wyjściem wyprawy za granice Francyi; pojawił się bowiem w zakładzie awiniońskim list niejakiego Siarczyńskiego, ochotnika 2 pułku strzelców konnych, ostrzegający gorąco przed dalszem wyruszaniem. List z datą 8 lutego 1833 [2]) miał wszelkie pozory anonimu i był bezwątpienia nie w czystej jedynie intencyi ostrzeżenia pisany. Autor przyznaje się, że przejeżdżał przez Niemcy, zdążając do Francyi w charakterze szpiega rossyjskiego, tą drogą przekonał łatwo ją, że sprawa cała znana jest tajnej policyi, że Zaliwski już w łapce i że ten ostatni „mimo swej wiedzy więcej się przysłuży cesarzowi, niż gdyby rząd francuski wszystkich wygnał Polaków, ma on dobrych stróżów, których do rady nawet używa". — List ten rozesłany w kopiach po zakładach niemało narobił hałasu wśród wychodźtwa; nie tak trudno jednak się domyśleć, że jest on pierwszym czynem wysłannika generała Dwernickiego, majora Buleskiego, mającego za cel zniweczyć wyprawę. Zaczął on rozsądnie i przemyślnie, bo od samego źródła wyprawy, stąd niezasilana i niepopierana poniosłaby już wielką stratę, dlatego też należało użyć takiego środka, któryby na zawsze odstraszył jej adherentów, a środkiem tym bezwątpienia radykalnym były grożące sidła moskiewskie. Że list ten w istocie pochodzi od Buleskiego, mistrza w intrygach, świadczy choćby to, że wyliczając nazwiska osób, któremi się tajna policya rossyjska interesuje, wymienia swoje nazwisko również, choć faktycznie nie

[1]) Kronika emigracyi polskiej, T. I., 1834, str. 17. (Wyprawa do Polski 1833 i wyprawa do Sabaudyi w r. 1834).

[2]) Pamiętniki Borkowskiego, str. 111. Stacya pocztowa Besangoni, 8 lutego 1833.

był Dominik Buleski tak ważną osobistością, ażeby go kto inny, jak on sam, postawił w rzędzie jednym z Lelewelem, Małachowskim, Zwierkowskim i innymi. Świadczy dalej o tem przypuszczeniu inny ustęp z listu, w którym na jaw wychodzi, że musiał to pisać ktoś z otoczenia lub przyjaciół Dwernickiego: „A gdym mu wspomniał (t. j. agentowi rossyjskiemu) o Dwernickim, Bemie, Zaliwskim, czy ich kto śledzi, odpowiedział: Dwernickiemu sami Polacy nie dają nic zrobić, Bema się nie obawiam, a Zaliwski już w łapce". Oskarża dalej donosiciel przejeżdżających, że głośno plany swe objawiają, że jadą do Polski dławić, łupić, zabijać (argumenta, którymi Buleski się posługiwał w kraju dla odstraszenia szlachty). — Kończy list apelem: „Nie traćcie, nie opuszczajcie najpiękniejszej młodzieży. Ten bałwan Zaliwski, nie zdatny do niczego, żeby na pastwę was wydawał." — Rada awiniońska, po otrzymaniu tego listu, zwróciła się z zapytaniem do generała, jak w tej sprawie postąpić, generał odpowiedział naturalnie, że należy się powstrzymać i nie przyspieszać działania [1]).

Tak więc, gdy w kraju rozbiła się wyprawa o przeszkody różnolitej natury, u jej źródła słabła bezustannie chęć wspomagania jej — wystarczały już rozgłaszane plotki, aby do niej zniechęcić, tembardziej, że i poza plotkami nadchodziły listy od samych ochotników wyprawy pełne narzekań i rozczarowań. Oto list jednego z mniej „szczęśliwych" okręgowych Dysiewicza, któremu nie danem było wkroczyć nawet do Polski [2]). „Nigdy niespodziewałem się już pisać do ciebie z Niemiec, byłem bowiem przekonany, że bez paszportu nie wyruszę z Szwajcaryi; ale nagle dostałem paszport i bez zwłoki dalej odbywam moją podróż i dziś już jestem na granicy Bawaryi, ale jak daleko jeszcze do mego celu! Wierz mi drogi Janie, że im więcej fizycznie zbliżam się do kresu mego przeznaczenia, tem więcej oddalam się moralnie. Nie pochodzi to z tego, że upadłem moralnie, moja siła bowiem moralna, chociaż teraz z powodu licznych przeciwności jest osłabiona chwilowo, nabiera jednak nowych sił i ćwiczy się do walki z jeszcze większemi przeciwnościami; przyczyną tego jest to, że widzę, iż uczyniono fałszywy krok, przez który ani nieszczęśliwa Polska, ani nieszczęśliwa, cierpiąca ludzkość nie odniesie korzyści.

---

[1]) Pamiętniki Borkowskiego, str. 114 i następne.

[2]) Arch. Nam. 854/955 5/R. P. II. 1830. Hipolit Dysiewicz zatrzymany i aresztowany w Kirchenlanitz w Bawaryi. Listy przy nim znaleziono i przesłano kopie tłumaczone do Lwowa. Powyższy jest przekładem tłumacza.

Jednem słowem, będzie to mały rozlew krwi, który miasto być źródłem wolności narodów, jeszcze ją na lat kilka cofnie. Powstanie bowiem w nieszczęśliwej Polsce nie znajduje w Niemczech oddźwięku, a jak dopiero we Francyi! Niemcy są głuche i tylko własnemi sprawami zajęte. Najniższe klasy społeczeństwa, na ktore się najwięcej liczy, żyją jeszcze w grubej ciemnocie i widzą swoje całe szczęście w szklance piwa i w fajce tytoniu. Klasa średnia, gdzie duch rewolucyjny najbardziej się powinien rozwinąć i która powinna rządzić klasą niższą, sama jeszcze potrzebuje kierowania, oświaty! Posiada jeszcze wiele samolubstwa, nie ma przygotowania i dokładnego pojęcia o tych wielkich wstrząśnieniach, które duch czasu coraz szybciej sprowadza. O klasie najwyższej nie mam nic do powiedzenia, sam bowiem odgadniesz mój Janie, z czego ta się składa i ile na nią liczyć można."

Drugi list [1]) tego samego okręgowego, jeszcze bardziej lamentujący, opisywał podróż przez Niemcy.

„Po wielu trudach i przeciwnościach jestem w Norymbergii. miałem z Konstancyi tylko 60 mil do tego miasta, a zrobiłem zwyż 80, gdyż nagabywano mnie bezustannie o paszporty. Skoro się przestąpi tylko próg oberży, pytają o paszport. Już dwa razy wracałem, ale znowu szedłem inną drogą. I na co przydało się to moje poświęcenie, czy przyniesie to korzyść ogólnemu dobru? Wątpię, takie bowiem postępowanie do niczego nie prowadzi. Powtarzamy tylko nasze ofiary! dwóch w Ulmie na 6 miesięcy twierdzy skazano, ośmiu tych, o których wiem, odesłano do Galicyi. — Ci wszyscy, których nam wskazano na marszrucie, są to zimni ludzie, nie udzielają nam żadnych wsparć i tak jak burmistrz Norymbergii zapewnił, że nie stoi w żadnych stosunkach z Polakami, że ani o Zaliwskim, ani o Lelewelu nigdy nie słyszał, że go Polacy zawsze prześladują, nie wiadomo dlaczego. Mój drogi Janie, kiedy usłyszałem te słowa, nie mogłem już ani słowa przemówić, tak byłem wzburzony. Takie zrobiono przygotowania do tej wielkiej wędrówki; a przytem jest postępowanie samych emisaryuszy tak niegodne. W ten sposób bowiem rozgłosili cel swojej misyi, że w całej Szwajcaryi i w Niemczech krążą wieści, że Polacy ruszyli się, aby w Polsce powstanie zrobić. O, jaki dobór indiwiduów!

---

[1]) List pierwszy z Neresheim 21/III. 833, drugi z Nürnberg 27 marca 1833, oba do Jana N. we Francyi w Besançon.

Tego rodzaju listy i wieści przerażały nie tylko cały ogół emigracyi, ale sprawiły nawet ogromnie przykre wrażenie na kierownikach wyprawy, jak na Lelewelu, który tak się skarży Zwierkowskiemu na przykrości, które go z powodu wyprawy czekają:

„Z wielu naszymi żórawiami niedobrze. Odbieram wiadomości nienajlepsze i straszliwe. Kazimirski mi pisze o wielkich wrzaskach i złorzeczeniach z powodu wypraw głośnych za Ren, tak, że mi radzi, aby w tych czasach nie pokazywać się ani w Paryżu. Jeśli zniewolony będę za morze wyjechać, powiedzą, żem uciekł...“ [1]).

Wkrótce potem przyszły do Francyi okropne wiadomości z Polski — a wraz z nimi podniosły się głosy złorzeczenia i potępienia na kierowników wyprawy.

Tak wszedł w życie i ziścił się plan Zaliwskiego.

---

[1]) Rkp. rapp. 568. List Lelewela do Zwierkowskiego Lagragne-Lafayette. 4 marca 1833.

Dr. Hermina Naglerowa.

Koniec części pierwszej).

(Ciąg dalszy nastąpi).

Legendowe postacie zakopiańskie.

I.

Chałubiński jako „król tatrzański".

(1873—1889).

(Ciąg dalszy.)

VII.

W tymże roku 1882, gdy wreszcie w centrum Zakopanego stanął okazały, choć drewniany, Dworzec Towarzystwa Tatrzańskiego, posiadający, oprócz pokoi na piętrze, wielką salę balową, koncertową i teatralną, i ładną czytelnię, i restauracyę z werandą, i gdy restauracyę wzięli w dzierżawę Ferdynand Turliński (przyszły twórca Nonszalanckiego Paonu w Krakowie) i Gustaw Finger, dawny leśniczy Homolaczów, a jednocześnie dyrektor poczty w Zakopanem, „dworzec" ten, odgrywający rolę miejscowego Kursalu, odrazu stał się punktem zbornym gości zakopiańskich. Stąd wieczorami, bądź na werandzie, gdy pogoda sprzyjała temu, bądź w sali restauracyjnej, gdy na dworze było chłodno lub słotno, gromadziło się tu przy stolikach, przy winie lub herbacie, sporo przedstawicieli sztuki, literatury i nauki polskiej, a w ich liczbie widziało się nieraz i największe „znakomitości", znęcone możnością pogawędki w gronie znajomych. Między innymi przychodził tu prawie co wieczór Chałubiński, ksiądz Stolarczyk, ks. Sutor, Baranowski, Anczyc, Pawlikowscy, Asnyk, Świerz, Eliasz.

Najweselej bywało zwykle przy stoliku, przy którym siedział niewyczerpany w humorze Anczyc, sypiący dowcipami, facecyami,

anegdotami, jak z rękawa, tak, iż niktby w nim wtedy nie domyślił się autora patetycznego Tyrteusza i patryotycznych pieśni z r. 1863. Serdecznie zaprzyjaźniony z Chałubińskim, który w nim cenił nietylko znakomitego pisarza i poetę, ale i wyjątkowego sympatycznego człowieka o złotem sercu, autor Kościuszki pod Racławicami, gdy w sierpniu 1881 r. urządzono w Zakopanem składkową ucztę na cześć Chałubińskiego, ucztę, w której i górale brali udział, uświetnił ją toastem, znakomicie malującym rolę i stanowisko „profesora" w tem uroczem podgórskiem ustroniu, coraz bardziej rozwijającem się za jego sprawą i wpływem.

Toast ten brzmiał, jak następuje:

W przecudnem ustroniu kochanej tej ziemi,
Kędy się przyroda czarownie tak stroi,
Z uczuciem przyjaźni, sercami szczeremi
Zebrali się dzisiaj u Tatrów podwoi
I starsi mężowie, i chłopcy te zuchy,
Poważne niewiasty i dziarskie dziewuchy.

Jedno nas uczucie dziś tutaj gromadzi,
A mniejsza, kto w jakim zrodził się w zaborze:
Wszyscy Cię kochamy, wszyscyśmy Ci radzi,
I wszyscy Cię uczcić chcą, zacny doktorze,
Za tyle poświęceń, za trudy i cnoty
I serce Twe złote i humor Twój złoty.

Bo czy się choroba zagnieździ pod strzechą,
Czy biedak pod nędzy brzemieniem ulegnie,
Tam zacny profesor bez zwłoki wraz biegnie
Z pomocą dla ciała, dla duszy z pociechą.
A kędy się zjawi, wnet smutek rozwieje,
Jak chmury słoneczko, gdy rankiem jaśnieje.

A każdym tym czynem kieruje myśl wzniosła,
Czy radzi jednemu, czy drugim pomoże,
Czy każe każdego wyuczyć rzemiosła,
Czy tu da na zasiew, czy tam znów śle zboże,
Czy dziatkom strapionym matusię ocali,
Czy Kasę założy dla biednych górali.

I jakaż go za to spotyka nagroda,
Czy order, czy złoto, tytuły, zaszczyty?
Jedyną nagrodą ta luba swoboda,
Gdy ujrzy po pracy wyniosłych Tatr szczyty
I hoży lud górski, potoki i skały
Gdy pieśń mu zagrają gęśliczki Sabały.

Gdy namiot rozbije gdzieś tam pod Wysoką,
Lub stopą zuchwałą Gerlachu szczyt zetrze,
Gdy w turni ocean zapuści swe oko
I piersią pochłania to górskie powietrze,
I wzrokiem przebiega urwiska i szczerby,
I gdy mu Roj Wojtek szklaneczkę da „herby“.

Przezacny Doktorze, o żyj nam najdłużej,
Zachowaj wciąż zdrowie i ducha swobodę
I świeżość umysłu i serce wciąż młode
I chęć do corocznej w te góry podróży,
Gdzie sercem nietylko górale Ci bliscy,
Lecz wszyscy Cię cenią, kochają Cię wszyscy!

O tych „trudach“ Chałubińskiego, wynagradzanych nietylko wrażeniami na wycieczkach, ale i wdzięcznością górali, doskonale napisał w r. 1887 Witkiewicz w swej pięknej książce: Jakkolwiek nie ulega wątpliwości — są jego słowa, — że prędzej lub później musiałoby dojść w Zakopanem do tego, co jest dzisiaj, do tego, że Tatry staną się źródłem środków do życia górali, nie przez swoje pasterstwo lub rolnictwo, nie przez „swoje ubóstwo mineralne“, lecz literalnie mówiąc, przez swoje powietrze i światło, to jest widoki; a dalej, że to wszystko, czego ludzie w zwykłych warunkach unikają: niewygoda, niedostatek, niebezpieczeństwo, trud, będzie tak cenionem i poszukiwanem, że zamiast szukać dróg najłatwiejszych, przejść najbezpieczniejszych, ludzie będą starali się o to, żeby choć przez chwilę znajdować się „między życiem a śmiercią“, że w miejsca, gdzie tylko najodważniejsi i najzapaleńsi „polowace“, „koziary“ chadzali, będą się drapali rozmaici „panowie“ i szukali, czego nie zgubili: słowem, że się już dokonał ten przewrót, jakiego nigdy nie przypuszczał żaden z marzących o skarbach baców, żaden ze skupujących „majątki“ gazdów, żaden z „honornych chłopów“, którzy za Tatrami szukali „bogatych łytków“ do obdzierania; że się to już stało, winne są Tatry jednemu człowiekowi. Że Tatry są już czemś niezbędnem w życiu naszego społeczeństwa, że lud zakopiański znalazł środki podniesienia dobrobytu i oświaty, że u nas ludzie się przekonywają, iż nietylko na wyżynach alpejskich można znaleść warunki klimatyczno-lecznicze: wszystko to jest zasługą prof. Chałubińskiego. Po Staszicu, który był może pierwszym podróżnikiem, co tu przyszedł nie po to, żeby się uganiać za kozicami, szukać skarbów, lub „wyzierać z za bucka“, zwiedzali Tatry inni, ale wszystko to były jednostkowe przedsięwzięcia, które nie budziły szerokiego

echa w całym kraju. Taternictwo, w tem znaczeniu, co alpinizm, naturalnie ze swemi oryginalnemi cechami, istnieje dopiero od czasów prof. Chałubińskiego. Około jego imienia utworzyła się też legenda: nazwano go „królem tatrzańskim“ i jest to zapewne jeden z najłagodniejszych i najlepszych królów, który w swojem wspaniałem i szczytnem państwie dbał nietylko o szczęście ludu, ale także o spokój kozic i świstaków o byt limb i smreków, który pamiętał o mchu marnym, i kochał dzikie i ponure głazy, stojące w milczeniu na skalnej pustyni. Jak w stosunku do ludu nie zdaje się on być filantropem na zimno, który zużywa swoje pieniądze i inteligencyę na zaprowadzenie porządków teoretycznie uznanych za dobre, lecz człowiekiem, którego wrażliwości na piękno i niezwykłe zjawiska życiowe odpowiada nadzwyczajns dobroć; podobnież w stosunku do natury czuć w nim silną sympatyę, potrzebę, graniczącą z namiętnością, roztapiania się w jej ogromie i dziwnym czarze jej obrazów. Podczas kiedy w opowiadaniach innych taterników, ciągle widać „przepaść niebezpieczną“, grającą na duszy wędrowca choćby lekkim strachem, w opowiadaniu prof. Chałubińskiego ponad „otchłanią“ unosi się łagodny, spokojny uśmiech i dobroduszny humor. Zajęty obserwowaniem tej natury, pochłonięty przez wrażenia, nie odczuwa on ani niebezpieczeństw, ani trudów, ani niedostatku. Cuda też opowiadają o jego wytrwałości, o jakimś stanie dziwnego podniecenia, w którem nie jedząc nic, kiedy już cała czereda górali padała ze znużenia, on jeszcze przed zapadnięciem nocy wdzierał się gdzieś na najniedostępniejsze szczyty. On się poprostu zapamiętywał wśród tego dziwnego górskiego świata... W rozmowach górali ciągle występuje „pan prefesor“. Sabała mówi o nim: „Jego wielkość pan wielkomozny“; inni co chwila mówią: „jakeśmy śli z panem prefesorem bez Polski Grzebień“, „na Gerlach“, „na Wysokom“ i tak dalej przez całe Tatry ze wschodu na zachód, z północy na południe, i z poziomu na zenit...“ Niema zresztą w Zakopanem takiej dobrej sprawy któraby nie była przez niego zapoczątkowaną lub przez niego przeprowadzoną.

VIII.

Tak było do roku 1887, w którym podczas wycieczki na Rohacze, gromadnej jak zwykle, Chałubiński zasłabł nagle, tak, iż już nie mógł wrócić do Zakopanego o własnych siłach, lecz przywieziono go chorego, złamanego.

O tym ostatnim okresie w życiu genialnego lekarza tak pisze Stan. Radzikowski:

> Lata mijały, Chałubiński, mimo wiek starszy, mimo siwiznę, sprężystym jak dawniej krokiem uganiał się po ukochanych przez się Tatrach. Otaczała go powszechna cześć, widział z radością, że posiew jego wzrasta, i zdawało się, że tak jak dawniej, ciągle jeszcze przez lata śpiew, muzyka, taniec, pójdą z nim po halach i turniach. Tymczasem rzeczywistość miała się raz urwać, aby przejść w legendę. Jak żołnierz w potrzebie wojennej, na ostatniej wielkiej wyprawie w Rohacze pochorzał i już nie poszedł na wierchy. Już nie siadł na wózek Marcinka Tadziaka, już mu nie zagrał Sablik w pochodzie, nie spoczął już u watry przy dźwiękach zbójnickiego.

Odtąd Tatry stały się dlań niedostępnemi: musiał poprzestawać na samem już tylko Zakopanem; aż w końcu prawie się nie wychylał po za obręb swego domu i ogrodu. Były to smutne czasy dla Zakopanego. wszyscy wiedzieli, że Chałubiński już nie wyjdzie z tej choroby. Kiedy go się spotykało czasami, jadącego bryczką z Sabałą lub Rojem, zgarbionego, z cerą ziemistą, z oczyma przygasłemi, przeczuwało się, że to już niezawodnie ostatnie lato widzi się go w Zakopanem. „Ostatnie lata — pisze prof. Baranowski — były walką z ciężką niemocą, która ten potężny duchowo i fizycznie organizm złamała. Półtora roku, poprzedzające datę zgonu, spędził Chałubiński w ustroniu zakopiańskiem. Do ostatniej chwili liczni jego przyjaciele i wielbiciele zimą i latem dążą do Zakopanego, aby krzepić myśli i uczucia widokiem szczytów tatrzańskich, i widokiem człowieka, który długi żywot umiał wypełnić pracą, do jakiej podnietą była miłość nauki i kraju.“ Na parę tygodni przed śmiercią Chałubińskiego, bawiący wtedy w Krakowie i koncertujący Paderewski, już opromieniony sławą pierwszego europejskiego pianisty (sławą, którą mu na kilka lat

przedtem przepowiedział Chałubiński), dowiedziawszy się, że chory „pan Tytus“ zapewne już nie doczeka wiosny, pospieszył do Zakopanego, aby pożegnać się ze swym dostojnym wielbicielem i osłodzić mu ciężkie chwile niemocy swą mistrzowską grą na fortepianie; albowiem gdy z Wiednia, Paryża i Londynu dochodziły nas echa tamtejszych Paderewskiego tryumfów, Chałubiński, już wtedy chory, niejednokrotnie wyrażał życzenie, iż jeszcze chciałby „pana Ignacego“ choć raz usłyszeć przed śmiercią. I oto stało się zadość jego pragnieniu: w chwili, gdy może go się najmniej spodziewał — gdy słoty i wichry jesienne zasępiały całe Podhale — Paderewski zjawia się nagle w Zakopanem, spędza kilka godzin przy łożu dogorywającego przyjaciela i cały wieczór gra mu Beethovena, Schumanna, Chopina, oraz własne kompozycye. Oprócz Chałubińskiego słuchało go jeszcze kilka zaproszonych osób, w tej liczbie: Witkiewicz, Dembowski, a także i Henryk Sienkiewicz, który właśnie zaczynał pisać Bez dogmatu (a w opisie koncertu Hilstówny i jej interpretacyi Sonaty księżycowej Beethovena skorzystał z niezapomnianego wrażenia, jakie na nim wtedy u Chałubińskiego zrobiła ta Sonata w wykonaniu Paderewskiego). Nawiasem mówiąc, w skutek rozdrażnienia nerwowego nie znosił Chałubiński w ostatnich czasach gry na fortepianie. Paderewskiego jednak słuchał bez przerwy niemal parę godzin z rozkoszą. Po wyjeździe jego popadł w smętną zadumę.

— Jakże przyjemny, rozkoszny miałem dzień dzisiaj — wyrzekł do otaczającej rodziny — prawdopodobnie ostatni to już dzień taki w mojem życiu.

W niespełna miesiąc potem Chałubiński już nie żył. Zmarł 4 listopada 1889 r. Na dzień przed śmiercią, przeczuwając zbliżający się koniec, zaklinał wszystkich obecnych, a następnie każdego z przyjaciół z osobna po kilka razy, aby go pochować w Zakopanem, wśród tych gór i tego ludu, który ukochał całą duszą.

— Nie dozwólcie, przyjaciele moi, pod żadnym warunkiem, aby mnie stąd kiedykolwiek zabrano.

Uroczysty pogrzeb, przy udziale licznych przyjaciół z Warszawy i Krakowa, w tej liczbie doktora Benniego, Andriollego, Stachiewicza i innych, oraz przy tłumnem uczestnictwie górali z Zakopanego i innych wsi okolicznych, odbył się — przy fatalnej pogodzie i słocie — w dniu 8 listopada. „Nad grobem — pisze Władysław Prokesch w Kuryerze Warszawskim — zabrał głos ksiądz Józef Stolarczyk.

Sędziwemu starcowi, jednemu z najlepszych przyjaciół ś. p. profesora, drżał głos i łkanie przerywało mowę, gdy rozpoczynał swe przemówienie. W prostych, pełnych serdecznej rzewności słowach, zastosowanych do pojęcia zgromadzonych tłumów ludu, zalegających cały cmentarz oraz okoliczne pola, skreślił on w ogólnych zarysach obraz doniosłej, pełnej dobroczynnego znaczenia, a nigdy niezapomnianej humanitarnej działalności ś. p. Chałubinskiego, i przypomniał zasługi jego dla Zakopanego i całej okolicy. Illustrując wywody swe licznymi przykładami z życia nieboszczyka, przytoczył charakterystyczny epizod ze znanej działalności zmarłego podczas pamiętnej epidemii 1873 r. w Zakopanem. Opowiadał, jak mieszkając u niego na probostwie, zmarły profesor nocą przez okno wykradał się na wieś nieść pomoc swoją klęską trapionej ludności, jak własną ręką przenosił chorych, zarażonych epidemią, i urządzał im posłania, nie szczędząc kosztów, poświęcenia, dając wzór innym lekarzom.

Wzruszającym słowom mowcy towarzyszył płacz i łkania, tu i ówdzie z tłumu głośniej się wydobywające, a gdy nareszcie imieniem nieboszczyka żegnać zaczął kapłan wszystkich razem i każdego z osobna, „i tę ziemię, i ten lud, i to powietrze“, i te „Tatry sine“, które tak umiłował — wybuchnął płacz i lament powszechny, lud cisnąć się zaczął tłumnie nad grób, by grudkę ziemi rzucić i po raz ostatni pożegnać swego pana, o którym pamięć podawać sobie będzie z pokolenia w pokolenie.

Straszliwa słota i prawdziwie grudniowy wicher zniewoliły do przyspieszenia końca żałobnego obrzędu.

Trumnę spuszczono do przygotowanego sklepu i zarzucono wieńcami, a lud zgromadzony stał na wichrze i śniegu z okiem boleśnie w grób utkwionem, dopóki kielnia murarza ostatniego nie zasklepiła otworu.

Szarfy wieńców złożono na pamiątkę i rozwieszono po obu stronach nawy kościoła zakopiańskiego.

Uroczy zakątek podtatrzański, tak rozkoszny w porze letniej, smutny przedstawiał obraz w ciągu tych dni załoby. Snadź natura połączyła się z ludźmi, by dać wyraz żalu swego nad stratą wielkiego człowieka.

Żaden ze szczytów tatrzańskich nie odsłonił się oczom przybyłych: kąpały się we mgle i łzach i tylko szum kosodrzewiny, zginanej wichrem po wierzchach i plusk głośnych

spienionych potoków, przypominał zabłąkanym tu wędrowcom, że się znajdują pod stopami Giewontu.

Bawiący wtedy w Zakopanem przez całą zimę Sienkiewicz napisał pod wrażeniem zgonu Chałubińskiego piękny o nim do warszawskiego Słowa felieton, w którym między innemi tak charakteryzował zmarłego i nieodżałowanego „króla tatrzańskiego".

W ostatnich czasach Chałubiński, sam już cierpiący i chory bez nadziei, zajmował się zawsze więcej cierpieniem innych, niż własnem. Miałem tego przykład jeszcze przed kilku miesiącami, gdy dzieci moje chorowały w Zakopanem. Chałubiński zapadł wówczas na zapalenie płuc, i tylko niesłychane wysiłki doktorów Baranowskiego i Kruszyńskiego zdołały przywrócić go do życia, a raczej przedłużyć je na kilka miesięcy. Otóż, leżąc na łożu śmierci, składał jeszcze prawdziwe konsylium z tymi lekarzami nad chorobą mojego chłopca... I trudno mi pogodzić się z myślą, że to mieszkanie prawdziwego filozofa dobroczynnego, że ten dom w Zakopanem, otoczony lasem świerków, będzie stał odtąd pustką, że tam ten dobry i słodki mędrzec nie podniesie się już z uprzejmym uśmiechem na powitanie gościa, że przestało już bić to serce w ludziach rozkochane, ta dusza gorąca, która tak ciągnęła ku sobie inne dusze, jak magnes ciągnie żelazo... Czem Chałubiński był dla Zakopanego i górali, każdy wie, ale nie sądzę, aby było powszechnie wiadomem, że potrafił on być dobroczyńcą nietylko pojedynczych ludzi, i że cała okolica zawdzięcza mu poprawę bytu. Jak Minerwa darowała niegdyś Ateńczykom drzewo oliwne, tak Chałubiński pierwszy sprowadził dla górali koniczynę i nauczył ich siać ją. W Chałubińskim, obok filantropa, mędrca i lekarza, siedział jeszcze poeta. Był poetą, zwłaszcza w górach. Miłość jego do tych ogromów, do tych samotni, do tych widnokręgów, które widać ze szczytów, a w których gubi się wzrok i dusza, wybiegała daleko po za granicę zwykłych podróżniczych upodobań! Nie! To było coś więcej: to, podług mnie, było jakieś mistyczne pokrewieństwo ducha z tem otoczeniem, jakieś poczucie jednakiej organizacyi, to była tęsknota istoty wyższej do wyżyn. Ta szlachetna gorąca dusza przeczuwała przez te widnokręgi jeszcze wyższe ogromy, jeszcze bardziej

niezmierzone widnokręgi. po za którymi przestaje istnieć natura, a poczyna istnieć poprostu: nieskończoność. [1])

W Zakopanem — jak i w Polsce zresztą — pamięć o Chałubińskim nie zaginie nigdy. W Zakopanem stał się on, z natury rzeczy, legendą, na równi z tyloma innemi legendowemi postaciami zakopiańskiemi. Tylko, iż legenda o nim, jako o najwybitniejszej z tych postaci, powstała najprędzej. Oto, jak już w roku 1894 dał jej bohaterski wyraz Kazimierz Tetmajer w swym felietonie o T a t r a c h, drukowanym w K u r y e r z e W a r s z a w s k i m:

Chałubiński nie „odkrył“ Tatr i Zakopanego, jak się czasem w Warszawie mówi: Tatry na długo przed nim były już zwiedzane, w Zakopanem sporo już osób spędzało miesiące letnie, kiedy Chałubiński tam przybył po raz pierwszy; położył on jednak niezaprzeczenie największe około rozgłosu jednych, a rozwoju drugiego zasługi. Nikt też tak, jak on, nie ukochał i nie poznał gór, nikt tak, jak on, nie wziął ich z tak poetycznej strony, że już nie mówię o dobru, jakie świadczył głową i ręką Podhalanom. Człowiek ten, któremu środki pozwalały iść za popędem fantazyi, a stanowisko społeczne pozwalało na fantazye najbujniejsze, uczynił się legengendowym bohaterem Tatr. Wymrą przewodnicy, którzy z „panem profesorem“ przebiegali Tatry od Osobistej po Jastrzębią Turnię, ale dzieci ich i dzieci ich dzieci będą sobie opowiadały o tych wycieczkach kilkotygodniowych nieraz, w których brało udział kilkudziesięciu ludzi, cała banda muzyczna góralska, a które wprawiały w zdumienie Węgrów w Szczyrbie (jezioro Szczyrbskie od południ. strony Tatr) i Niemców w Szmeksie. Walono całe świerki na ognisko, rozbijano namioty, Bartek Obrochta, oparłszy skrzypce o piersi, pochylał głowę na lewo i tupiąc w takt nogą, a w miarę rozgrzewania się, tupiąc w takt obiema nogami, puszczał swój gibki i szybki, jak błyskawica, smyczek po strunach;

[1]) Chałubiński był człowiekiem religijnym, jak to wynika z jego niektórych listów do syna, Ludwika. „Bądź pobożnym — pisał mu raz, — módl się krótko, ale mocno!“ — „Bóg z tobą, dziecię moje! (pisał w innym liście). Tem Cię słowem pozdrawiam i tem przypominam, żeś się nigdy samotnym i słabym czuć nie powinien: bo Bóg istotnie z Tobą, i w każdej chwili możesz sercem do niego się zwrócić i zaczerpnąć siły, bez której życie nietylko jest ciężkiem, ale i marnem.“

wtórowały mu drugie skrzypce i basy, a stary Sabała, zapatrzywszy się gdzieś w przestrzeń, „brzęczał na złupcokak“ (złupczaki, albo gęśle, staroświeckie skrzypce). Od czasu do czasu zaś przerwał, głowę podniósł i przyśpiewał:

„Z za wysokiej turni oreł się podnosi,
Kozicka gwiznena, pocuła kogosi.“

albo:

„Powiadajom ludzie, ze mną zbójnik budzie,
Jak budzie, to budzie, samym wirchem pudzie.“

zaśmiał się, potarł nos rękawem i dalej grał. Tymczasem już Szymki, Jaśki, Wojtki i Józki, nieodstępni towarzysze Chałubińskiego, poodpinali torby: jedni pieką na wykrzesanych w mig rożnach pieczeń zbójecką, zakrawaną słoniną, inni warzą „herbę“ (herbatę), a reszta „pozodziwała się“ ze serdaków i dalej do tańca! Już tam gdzieś słychać Walka Brzegę:

„Grajze mi muzycko, jako mi mas zagrać,
Po mojej śmierci mozes tytko zabrać“,

i trzaski i żwir lecą mu z pod kierpców. Ale Chałubiński zagwizdał „zbójeckiego“. Porwali się wszyscy chłopcy, ciupagi w rękach, kapelusze z piórami na głowach, Sabała schował skrzypce w rękaw od czuchy i wywijając toporkiem staje na przedzie. Aż grzmi las od chóralnego prześpiewu:

„Hej Janicko serdecko
Kaześ podział piórecko,
Com ci dała?
A ja jechał do wojny,
Upadło mi do wody
Duso moja...“

Puszczają się w taniec dokoła ogniska, profesor zaś siedzi z księdzem Stolarczykiem (zmarłym niedawno proboszczem zakopiańskim) na jakimś pniaku zwalonym i zasłuchuje się w tę dziką, monotonną, dziwną muzykę. Ten „dobry mędrzec“, jak go nazwał w pośmiertnem wspomnieniu Sienkiewicz, ten cywilizowany człowiek, jeden z najzacniejszych, jakich mieliśmy, zamyśla się o dawnych czasach, o dawnych czasach tatrzańskich, o czasach młodości Sabały,

zbójeckich. I ten dobry mędrzec, ten cywilizowany człowiek żałuje, że one minęły. Jest on w tej chwili przedewszystkiem artystą-romantykiem. Zbójnictwo tatrzańskie było tak romantyczne, jak raubrytterstwo średniowieczne. Ze stanowiska etyki trzeba je potępiać, ze stanowiska artyzmu trzeba go żałować. Bujna, szeroka natura Chałubińskiego lubowała się w tem bujnem, szerokiem życiu, które się dawniej na Podhalu wiodło: on je czuł i odtwarzał w sobie imaginacyą w całej pełni, w całym tym wielkim a smętnym uroku, jaki ma w sobie każda niepowrotna przeszłość. W dziesięcioro byłby on wynagrodził zrabowanego kupca na Liptowie, czy Orawie, ale radby był, gdyby tak Mateja Wojtek z grobu wstał i zaśpiewał:

„Ja se pijem dwa dni, ja se pijem trzy dni,
Ja się o pieniądze nie turbujem nigdy!...“

Dzieje się to wszystko w jakiejś dolinie Koprowej, Staroleśnej czy Kamienistej. Ogień i dym biją nad las i czerwone światło migota po górach. Głucha cisza puszczy rozbrzmiewa dziką muzyką i dzikimi głosami; gdzieś woda grzmi i huczy, czasem wicher świśnie, między konary, a nad szczytami świecą gwiazdy, ciche, zadumane, błękitne. Powoli muzyka przycicha, śpiewy się urywają, ogień przygasa, „pan prefesor“ układa się do snu pod namiotem. górale oblegają ognisko, tylko Sabała coś tam majstruje koło swoich „złupcoków“ i mruczy półgłosem:

„Byli chłopcy, byli, ale się minęli,
I my się miniemy po malućkiej chwili...“

„Minęli się“ rzeczywiście: „minął się“ i on i Chałubiński. o obu zostanie tylko legendowa pamięć, uwieczniona wspaniale godnem obu piórem Stanisława Witkiewicza, który napisał w „Na przełęczy“ najpiękniejszą rzecz, jaką kiedykolwiek o Tatrach napisano. Mówić szeroko o Chałubińskim i o Sabale, to znaczy jego powtarzać. Nic więcej przedewszystkiem, nic lepiej powiedzieć nie można. My, którzy czasy Chałubińskiego pamiętamy, zawsze ich żałować będziemy. Tatry były wtedy jeszcze nowsze, mniej spospolitowane, miały urok ziemi dziewiczej; Chałubiński wprowadzał w nie jakieś życie dziwne, strzeliste, jedyne w swoim rodzaju,

porywał wszystkich za sobą, górom dawał szczególny czar, który wraz z nim przeminął. Zdawało się, że te góry, w których on tak niknie z całą swoją ogromną kompanią na tygodnie całe, są jakieś nieskończenie rozległe i wielkie; jego fantazya dawała im jakąś wybujałą fantastyczność. Chałubinski Tatrami magnetyzował ludzi, jak Chateaubriand Wschodem. Z jego śmiercią nie zgasła piękność Tatr, bo ta jest od nikogo niezależna i wieczna, ale zgasł ten szczególny urok, który tylko ten wyjątkowy człowiek im dawał i którego żaden drugi Chałubiński daćby im nie mógł, ponieważ był pierwszy i ponieważ *czas minął.* Tatry miały swój romantyzm, miały swoją *Sturm und Drangperiode* i wtedy zjawił się dla nich Chałubiński, jak dla Niemiec Goethe, jak dla Anglików Byron. W swoim czasie swój człowiek. Gdyby się dziś pojawił taki geniusz, jak Goethe, napisałby takie arcydzieło, jak Goetz, ale *czas* „Sturm- und Drangperiode“ *przeminął.*

Pamiątką tej bujnej romantycznej epoki Zakopanego i Tatr, kiedy w nich Chałubiński, jako „król tatrzański“, przeżywał swe najpiękniejsze i najszczęśliwsze chwile, a na całe Zakopane padał jakby blask od wspaniałej, prawdziwie bohaterskiej postaci „profesora“, jest w Zakopanem piękny pomnik Chałubińskiego, skomponowany przez Witkiewicza, a wykonany przez Nalborczyka.

Gdy w dniu 26 sierpnia 1901 r. zakładano uroczyście, wobec licznie zgromadzonych gości, kamień węgielny pod ten piękny monument, wygłosił stosowną mowę dr. Stan. Eliasz-Radzikowski, przyczem raz jeszcze, w dwanaście lat po śmierci Chałubinskiego, przypomniał jego zasługi dla Zakopanego, w wymownych słowach kreśląc sylwetkę znakomitego „profesora“ na tle Tatr.

Oto, co mówił między innemi:

Pieśń, muzyka, taniec, szły z nimi; przechodzili tak całe Tatry wszerz i wzdłuż. Tam gdzieś wysoko u Czeskiego Stawu rozbijali namioty, niecili watrę i obtańcowywali ją po zbójnicku dookoła. Chadzali tak lata całe, jak hufiec zbłąkanych rycerzy kresowych, niosąc w okoliczne krainy, w które się spuszczali ze szczytów, na Spiż, Orawę, Liptów, między Słowaki i Węgry, sławę odwagi polskiej, wytrzymałości na trudy, myśl wesołą, swobodną, przyjaźń ku ludziom. I szła ta drużyna bohaterów, owiana chwałą zwycięstw niedostęp-

nych szczytów, nieprzebytych turni, szła zapatrzona w swego wodza rok za rokiem, tak, że wyrobiła się tradycya wypraw i wzrastało już drugie pokolenie starszemu podobne.

\

Niema gór na świecie, gdzieby alpinizm powstał w podobny sposób. „Było to zupełnie oryginalne, nasze otwieranie nieznanych szlaków, zapartej głębi Tatr.“ Pozostanie to wiekopomną zasługą Chałubińskiego, to nie ulega wątpliwości, że jako „mający już imię i ufność wielką“ w społeczeństwie, on był tym „niezrównanym wodzem“, który w Tatry i do Zakopanego „pociągnął za sobą cały naród“.

Choć na wiele lat przedtem wiedziano już o nas dobrze o Tatrach, choć powiedzenie, że Chałubiński odkrył Tatry, można uważać za frazes, to przecież tkwi w nim wiele prawdy. Usiłowania poprzedników były pracą jednostek, ktore zjednywały mniejszą lub większą garść zwolenników; działanie Chałubińskiego znalazło odgłos szeroki, spotkało się z poparciem całego narodu.

Może być, po części dlatego, że już było wołaniem nie pierwszem, może być, że trafiło na chwilę sposobną, kiedy naród odpocząwszy po wysiłkach objawów życia na zewnątrz, wszedł w siebie i zapragnął siebie i własność swoją poznac bliżej; dość, iż głos Chałubińskiego zdziałał niezmiernie wiele: przyciągnął serce narodu, związał Warszawę z Tatrami, a związał tak szczęśliwie i tak silnie, że dzisiaj o konieczności Tatr dla Polski mówić nawet nie trzeba; czuje ją cały naród, otaczając Tatry troską i miłością.

Nie dziwić się też wypada entuzyazmowi, z jakim naród wspomina piękną postać Chałubińskiego. Czcząc jego, czci samą ideę, której on stał się idealnym obrazem.

Krzewiąc kult i umiłowanie Tatr, jako gór ojczystych, budując — jak się trafnie wyraził Radzikowski — Tatry w Polakach, Chałubiński pełnił misyę tę nietylko z całą świadomością celu, do którego dążył w tej dziedzinie, ale nadto wkładał w dzieło to wiele pracy i mozołu, a nawet osobistego poświęcenia.

Sprowadzał, zachęcał, ściągał tak sam, jak sławą swego imienia ludzi z zakątków Rzeczypospolitej, z Litwy, Ukrainy, z za kraju nawet rozpierzchłe rzesze, pokazywał Tatry, pro-

wadził w nie, wyszukiwał te strony wielkiej, szczytnej idei tatrzańskiej, które dotąd zalegał cień, odsłaniał lud, wskazywał na Podhalan z ich strojem, zwyczajem, pieśnią, muzyką, językiem.

Niemniej też w tem, co zagranica dowiadywała się o nas, przeważny, jeżeli nie wyłączny udział, miał Chałubiński. On wiódł cudzoziemców w Tatry, urządzał dla nich osobne wycieczki, a opisy Le Bon'a, antropologa francuskiego, Tissota i innych, powstały pod wpływem Chałubińskiego, który wprowadził ich w głębię Tatr, oraz dał im możność poznania górali i ich życia.

Bo huczne, głośne pochody Chałubińskiego przez hale i turnie, to nie była czcza zabawka, lecz wielka, żywa nauka, licząca się z życiem, a nie uczoność, zamknięta w zatęchłej bibule książki.

Kto miał sposobność być z Chałubińskim w Tatrach, poznał je wszechstronnie, poznał nietylko te surowe, zimne skały, ale i *to*, przez *co* te skały są nasze, poznał lud tatrzański, i to poznał w otoczeniu, jakie go urobiło, w bezpośrednim związku z przyrodą, w której ten lud wzrósł i z siłami jej mierzył się od wieków.

Tu też, w naszych Tatrach, zadzierżgnął się ten węzeł między przybyszem z dołów a góralem, a zadzierżgnął się pod wpływem wypraw Chałubińskiego. Przewodników, takich, jakich dzisiaj mamy, troskliwych, znających rzecz, wzorowych przewodników. jakich niema gdzieindziej w świecie, wychował Chałubiński.

Ruch przyrodniczy, jaki rozwinął się w Tatrach w pierwszej dobie, poprzedzającej wystąpienie Chałubińskiego, za Zejsznera, Janoty i Nowickiego, ustał potem; drugie ożywcze tchnienie dał mu wpływem swym Chałubiński; po części nietylko wpływem, ale i własną pracą.

Gorliwym pomocnikiem Chałubińskiego w krzewieniu kultury w Zakopanem był ksiądz Stolarczyk. Były to najlepsze chwile Zakopanego, gdy ci dwaj ludzie w pełni sił współdziałali w jego podniesieniu.

Nie było myśli, nie było przedsięwzięcia, któreby nie oparło się o Chałubińskiego. On radził, działał, pomagał,

a to, co potem się stało, gdy już jego zabrakło, powstało dzięki początkom, danym przez niego. Wspierał górali materyalnie i moralnie, starał się o polepszenie ich bytu. Założył Kasę zaliczkową w Zakopanem, wprowadził koniczynę na Podhale, dał początek przekształceniu Zakopanego nietylko w środowisko polskiego alpinizmu, ale w pierwszorzędne nasze uzdrowisko. Powagą imienia swego i urokiem niemal cudownego lekarza przekonał społeczeństwo, że zdrowie równie dobrze i u nas można ratować. Odtąd zaczął się rozwój Zakopanego, rozwój, który w dalszym ciągu na dowód, że myśl Chałubińskiego była oparta na rzeczywistych własnościach leczniczych miejscowości, doprowadził do obecnego bądź co bądź nadzwyczajnego stanu, do jakiego doszła dzisiaj prosta odległa ta wieś górska z przed lat trzydziestu.

Jako dowód wdzięczności za to wszystko, co Chałubiński zdziałał dla Zakopanego, postanowiono „opodal jego domu, na ziemi, co należała do jego zagrody, naprzeciw muzeum, które już jest jednym wspominkiem jego życia i działania“, wznieść mu pomnik spiżowy wśród głazów granitu, pomnik, z którego „ten mędrzec z pogodną dobrą twarzą i jasnem czołem“ patrzećby mógł w Tatry, zasłuchany w rapsodach siedzącego u jego stóp Sabały.

— Niech tak patrzy przez wieki — mówił w zakończeniu swej pięknej oracyi Radzikowski — i niech błogosławi pracy następców, pracy, idącej w przyszłość z myślą o przeszłości Podhala; niechaj będzie ogniwem widomem łączności między tem starem g ó r a l s k i e m a nowem p o l s k i e m Zakopanem!“

Ferdynand Hoesick.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dramat w polskiej twórczości ludowej.

CZĘŚĆ DRUGA.

Żywioł dramatyczny w twórczości ludowej.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ II.

Wątki i osnowy komedyi.

§ 27. Burleskowa, dramatyczna poezya ludowa zjawia się jako produkt wytwórczości pośród wszystkich wyżej rozwiniętych narodów. Jest ona objawem ogólnego typu tworczości, że obok całej sfery produkcyi dramatu właściwego, rozwija się równolegle komedya ludowa, której cechą jest wtargnięcie w prymitywną sferę ludzkich stosunków, odtworzenie zwykłych poziomych, nieskomplikowanych zgoła sytuacyj i charakterów.

A jeśli spoglądniemy w historyę narodów, czy dramatu, wszędzie ujrzymy jako równolegle się rozwijające dwie zasadnicze, dramatyczne odmiany: jedna pełna godności, poważna, druga podrzędniejsza, wesoła. Już Arystoteles w swej „Poetyce“ zwracał na to uwagę, że „wszelka poezya powstała z wysiłków improwizacyjnych, i już w samym zawiązku, dzieliła się, wedle właściwości swych twórców, na dwa rodzaje: szlachetniejsze umysły naśladowały szlachetne działania, tworząc dytyramby pochwalne na cześć bogów i herosów; pośledniejsze umysły brały za przed-

miot naśladowania działanie małych, przeciętnych ludzi. Z czasem z tych zawiązków dwu gatunków poetyckich rozwinęły się dwie główne formy literackie dramatu: z dawnych, świętych dytyrambów na cześć Dyonizosa i herosów, stworzona została przez owych twórców wyższej miary, tragedya; z zawiązków zaś pieśni na cześć płodnej natury, stworzyli autorowie pieśni szyderczych i mimusowej akcyi, komedyę.[1])

Lud ma wrodzoną dyspozycyę do naśladowania scen z życia o motywach humorystycznych, których cała vis comica obraca się w szczupłem kole pewnych zjawisk codziennych, sytuacyj niewyszukanych, łatwo zrozumiałych przez swą naiwność, niemniej grupujacych się w kategorye określone, podpadające bliższemu zbadaniu.

Stwierdza to już Reich[2]), że realne życie w niższych sferach obraca się stale w pewnych szrankach niezmiennych, że na przestrzeni dwóch, lub trzech tysięcy lat, właściwie nie dają się zaobserwować zasadnicze zmiany. Być może więc, że w Grecyi nie spotykamy już owych herosów Homeryckich, lub tych dumnych obywateli, co brali udział w wojnach perskich. Lecz w niższych i najniższych warstwach ludowych pozostało życie niemal niezmienione, nawet w ubiorze zewnętrznym i sposobie życia. Błaznów więc, którzy w dawnym mimusie wiedli tak wesołe życie, i dziś, jak przed dwoma tysiącami lat, spotyka się w Rzymie, czy w Neapolu lub w Atenach, na ulicy i na jarmarku.

Dziś jeszcze widzi się często we Włoszech przejezdną trupę ulicznych histryonów, którzy na zaimprowizowanej scenie, na wędrownym wozie, odgrywają fragmenty dawnych widowisk scenicznych, przyczem występują zwykłe co najmniej trzy osoby, a to: wróża-lekarza, tradycyjnego szarlatana z farsy średniowiecznej i późniejszych. dalej żony wiarołomnej i męża oszukanego, jakiegoś typowego Sganarella, a te trzy postacie tworzą zwykle akcyę farsową, dość codzienną i oklepaną, a rzecz charakterystyczna, że wspólną wszystkim niemal komedyom ludowym.

Wspominaliśmy już, przy sposobności omawiania typów ludowych widowisk szopkowych, o istnieniu pewnych postaci, wspólnych każdej poezyi ludowej: cytowaliśmy tam to zdanie Reicha, iż „wszędzie istnieją owi grubi, brudni, głupi, kłótliwi chłopi, upadłe dziewczęta, niewierne żony i oszukani małżonkowie, dumni

[1]) Poetyka. Cap. 4, 6.
[2]) Reich: Der Mimus. B. I., cap. I.

panowie, gardzący biednym gminem, chełpliwi żołnierze itd., wszędzie panuje ta sama mizerya. Z tego ubóstwa wyłania się dla ludu wszędzie podobny humor, który go skłania do tworzenia sobie podobnych, pysznych, burleskowych typów, swoich ulubionych pajaców, co mu życie rozweselają".[1])

Przechodząc do analizy materyału, przez nas zebranego, musimy znów sobie zadać pytanie, w jakiej formie wyraża lud swoje pomysły sytuacyj komicznych i jakie pierwiastki twórczości weźmiemy w tym razie pod uwagę.

Chodzi nam i tu o zebranie z całego skarbu poezyi ludowej tych wątków i osnów, w których dochodzi do wyrazu komizm, pierwiastek komiczny poezyi ludu.

Cała ta swoista komedya nie doszła, podobnie jak i dramat, do wypowiedzenia się w formie scenicznej. Tkwi ona w produkcyi ludu artystycznej, w tym całym materyale prozy i poezyi, jaki wzięliśmy za przedmiot naszego badania.

§ 28. Przystępując do analitycznego omówienia wątków komicznych, zdać sobie musimy sprawę z samego pojęcia komizmu, które to pojęcie przez estetyków komentowane było obszernie, a rozmaicie. Najobszerniej zagadnieniem komizmu zajmował się Teodor Lipps[2]), którego teorya jednak niezupełnie jest wystarczająca w odniesieniu do form scenicznej komedyi, wogóle do komedyi, jako pewnej całości dramatycznej, opartej na akcyi i charakterach. Lipps rozszerza właściwie twierdzenia Kanta, że komizm powstaje z nagłej przemiany oczekiwania w „nicość". Jego teorya komizmu, poza którą niemal nie wychodzi, streszcza się w określeniu: komizm powstaje wtedy, gdy w miejsce oczekiwanej rzeczy pełnej znaczenia i wrażenia (dla nas lub w nas), następuje wypadek, czyniący na nasze uczucie, pojęcie i obecne zrozumienie bardzo skromne wrażenie.[3])

Przez oczekiwanie owej wielkiej rzeczy następuje wyładowanie pewnej sumy psychicznej siły, która jednak w przeważnej części nie znajduje zużytkowania, ponieważ nieznaczna owa, drobna rzecz spotrzebowuje tylko małą ilość psychicznej energii. Tę nadwyżkę siły psychicznej odczuwa się właśnie jako wesołość.

Teorya ta ma wartość pierwszorzędną w odniesieniu do tak zwanego komizmu subjektywnego, w którym pewna osoba wypo-

[1]) Reich: Der Mimus. B. I., str. 47.

[2]) Th. Lipps; Komik und Humor. Beiträge zur Aestethik, VI., 1898.

[3]) Lipps, l. c., str. 44.

wiada zdania komiczne, zwane dowcipem czy anegdotą. Nie wystarcza jednak, gdy bierzemy pod uwagę intrygę komiczną, w której komizm sytuacyi, cała akcya wogóle nie da się wyrazić w samem tylko oczekiwaniu na rzecz wielkiej wagi i na rozwianiu się jej w nicość.

Teorya Lippsa spotkała się zatem z krytyką, choć nie brak było i gorących jej zwolenników. Do określenia komizmu najudatniejszego doszedł, naszem zdaniem, Otto Schauer, który zbijając teoryę Lippsa, postawił własną, na którą możemy się zgodzić bez zastrzeżeń.

Twierdzi on[1]), iż we wszystkich wypadkach komicznego działania chodzi o to, że albo czytelnik, lub widz, ulega złudzeniu, iż ktoś czegoś oczekuje, a miast tego następuje coś kontrastowego, lub ktoś inny zostanie wyprowadzony w pole, czy też ucierpi jakąś szkodę. Cały komizm należy uważać za pewnego rodzaju grę (Spiel). Ta gra jest walką, w której uczestnicy obejmują rolę przeciwników. Przeciwnikowi usiłuje się szkodzić, wyprowadzić go w pole itd. Jeśli uda się pomysł, to jest nic innego, jak radość z żartu. Jest cechą żartu, że cieszymy się i bawimy wtedy, gdy inni zostaną pokonani i wzięci na kawał, ale i wtedy także, gdy sami musimy odegrać rolę pokonanych i naciąganych. Te dwa rodzaje komizmu stanowią o dwu grupach podziału: gdy inni są przedmiotem zabawy, wtedy ten rodzaj komizmu można określić jako objektywno-komiczny, gdy natomiast my sami ulegamy podstępowi i jesteśmy pokonani, wtedy to rodzaj subjektywno-komiczny.[2])

Trzeba zaznaczyć, iż tę świetnie ujętą teoryę „gry“ wytwarza Schauer zgoła na drodze oryginalnej, choć podobne ujęcie komizmu, spotykamy już w książce St. Schütze'a[3]), który twierdzi, iż „komizm jest to spostrzeżenie, które w danym momencie obudza ciemne uczucie, że natura prowadzi z człowiekiem, wtedy, gdy mu się zdaje, iż on działa swobodnie, wesołą igraszkę, przez co ograniczona wolność człowieka, w stosunku do owej wyższej mocy, zostaje wyszydzoną“.

Zbliżony poglądem na komizm był Vischer w swej „Estetyce“[4]). I on główną rolę przyznaje w komedyi podstępowi,

---

[1]) Otto Schauer: Ueber das Wesen der Komik. Archiv für die gesammte Psychologie. B. XVIII., 1907, str. 411.

[2]) Schauer, l. c.

[3]) Versuch einer Theorie des Komischen. Leipzig 1817 str. 23.

[4]) Aesthetik, B. IV., str. 1433 i n.

a nie jest to, wedle niego, podstęp jako taki, lecz jego skrzyżowanie się z frapującymi momentami przypadku, co określa formę komedyi intrygi.

Przypadkowość jest uprawniona w komedyi, ona występuje w miejsce losu. Komedya, jako dramat, jest właśnie grą między wolnością a dziwną mocą, która niespodzianie, nieobliczalnie wpada z zewnątrz, znienacka, nęci, dziwi, zgoła bez racyi, to znów jak roztropny demon się zjawia.

Wszystkie prawdziwe, udatne motywy komedyi obracają się około momentów nęcącej gry między obrachowaniem a przypadkiem.[1])

Widzimy, jak bardzo blizkie teoryi Schauera są poglądy Vischera. I można śmiało powiedzieć, że jeśli cała metoda analityczna Lippsa dochodzi właściwie do określenia „humoru", Vischer, a zwłaszcza Schauer, uzupełniają go znakomicie, gdy chodzi o komizm dramatyczny.

§ 29. Przyjmując zatem teoryę „gry", jako podstawę komizmu, spójrzmy teraz, jak ów pierwiastek komiczny zaznacza się w twórczości umysłowej naszego ludu.

Także i komiczne wątki ludowej poezyi znajdują swą formę już w dyalogowej pieśni, przyczem komizm cały kryje się w odpowiedziach i pytaniach, jak n. p. w pieśni p. t. „Kot"[2]). Rozmawia tu matka z córką:

„Córuś moja, dziecię moje, co u ciebie szepce?"
— „Pani matko, dobrodziejko, kotek mleko chłepce".
„Córuś moja, dziecię moje, co okienkiem rucha?"
— „Pani matko, dobrodziejko, wiater oknem dmucha".

Pyta się dalej matka, zaniepokojona szmerem niezwykłym, co to u niej trzeszczy, co stuka, a córka znajduje wykręt, iż to kot narobił takiego łoskotu. Dopiero, gdy matka pyta się, czy ten kot ma ręce, córka przeczuwając, że matka domyśla się, iż u niej bawi kochanek, odpowiada:

„Pani matko, dobrodziejko, i złote pierścieńce".
— „Córuś moja, dziecię moje, ja cię będę biła!"
„Pani matko, dobrodziejko, samaś tak robiła
Oj! kot, pani matko kot, kot,
Narobił mi w pokoiku łoskot".

---

[1]) Aesthetik. B. IV., str. 1433.

[2]) Wójcicki: Pieśni ludu, str. 113. Zb. wiad. do antr., t. X., str. 126.

Dyalog ten ma wszelkie cechy komizmu. Przestraszoną łoskotem w pokoju matkę, uspokaja dziewczyna wykrętnie, z rozmysłu wprowadzając ją w błąd, i kochanka, jako kota traktując, wywołuje tem większy komizm, skoro matka domyśla się wreszcie, że to kochanek. Już tu mamy zaznaczoną ową grę między przypadkiem, iż właśnie łoskot obudził śpiącą matkę, a udaniem, że to kot domowy sprawcą łoskotu.

Podobny wątek komiczny spotykamy w innej pieśni, w której Jaś jedzie na koniu, a Kasia mu mówi, iż komora będzie otwarta wieczorem, byle tylko nie dzwonił podkówkami, bo mama czujnie śpi. W noc woła matka do męża: „Wstań, bo w komorze Kasi ktoś jest“. Lecz zanim stary się zerwał, Jaś już okienkiem wyskoczył.[1])

Inny wątek komicznego dyalogu spotykamy w pieśni p. t.: „Zielony dzban[2]). Poszła panna po wodę, i nadjechał pan i stłukł jej dzban. Dziewczyna poczyna rzewnie płakać:

„Moja panno, nie płacz-że,
Ja ci ten dzban zapłacę:
Talara ci dam,
Za zielony dzban.“

Ale dziewczyna nie chciała talara, lecz dalej płakała. Pan więc ofiaruje jej jako wynagrodzenie szkody dukata, potem konika, wreszcie forysia, lecz dziewczyna nie przyjmuje tego wynagrodzenia i płacze bezustannie. Dopiero, gdy pan powiada: „sam ci się oddam za zielony dzban“, dziewczyna przestaje płakać i z radością oświadcza, że tego chciała.

I tu więc mamy grę zwykłą między przypadkiem, że pan zbił dzban, a podstępem, skoro dziewczyna udaje niepocieszoną, a w zasadzie udaje się jej swym płaczem zyskać jego miłość, iż całą swą osobą wynagradza symboliczną zdaje się szkodę, zbicia zielonego dzbana.

Zawiązki akcyi, tkwiące już w omówionych wątkach dyalogow, przybierają pełniejsze formy czy w motywach, lub osnowach komicznych.

W komedyi, podobnie jak i w dramacie, muszą się wyrażac poruszenia duszy w afektach i aktach woli za pomocą pewnej kompozycyi, a więc także w pierwszej linii przez akcyę. Nie

[1]) Wisła, t. VI., str. 862 (20).

[2]) Wójcicki: Pieśni ludu, str. 41. Wiad. do antrop., t. XVII., str. 62 (39); Zyg. Wasilewski: Jagodne, str. 199, Nr. 128.

wystarcza tu, by jedna, czy więcej osób wyrażały się w sposób komiczny, lub każda z osobna odgrywała jakąś mimiczną, lub humorystyczną scenę, śmiech obudzającą.

Dramat musi się i tu wyrażać przez aktywne działanie: także w wesołym dramacie musi dojść do konfliktów, które tkwią integralnie w akcyi, a komedya odróżnia się pod tym względem od dramatu poważnego tem, że tu powstają konflikty na tle uczuć i namiętności, tam zaś wypływają one z głupoty i ograniczenia natury ludzkiej[1]).

Wątków komicznych spotykamy w twórczości ludowej stosunkowo mało. Pierwiastek komiczny wyraża się tu przeważnie, jak poniżej ujrzymy w jednolitych już pomysłach osnów komicznych, w których zadzierżgnięta sprytnie intryga, daje też nazwę przewadze tematów, jako komedyi intrygi.

Wątek komiczny znajdziemy co najwyżej w pieśni o panu podstolim, który ofiarował ukradkiem szlafrok żony dla „młodej Wojtkowej“, a wtedy pani podstolina, „kłótni nie zaczyna, lecz Wojtka ustroiła w żupan męża“.[2])

Inny zaś wątek, bardziej jeszcze realistyczny, opowiada o pachołku, co poszedł sprzedawać wieprza na targ. Upiwszy się z drugim chłopem, wlazł w powrocie do chałupy swego kompana w pijatyce, gdzie była sama żona. Ta chciała go się pozbyć z chałupy, kazała mu więc trzymać sznur, który kręciła, aż cofając się wyszedł z chałupy, wtedy zatrzasnęła za nim drzwi. On legł wtedy w budzie psa. Gdy zaś żona wyszła szukać swego męża, on wlazł do chaty, wyjadł całą kolacyę, a na jej miejsce, powstawiał do garnków kierpca, hubę itd. Gdy wraca pijany mąż do chaty, zabiera się do jadła i skarży się, że ono takie twarde.[3])

§ 30. Przechodzimy do obszerniejszych tematów komicznych, zamykających już w sobie całą komedyę. U wstępu musimy sobie zdać sprawę, jak zwykle segregowano pewne grupy tematów komicznych. Najbardziej przyjęty jest podział komedyi na: 1) komedyę intrygi, 2) komedyę charakterów. Taki podział przyjmuje Vischer, za nim inni, między nimi także Schlag[4]). Ten określa w ten sposób różnice, jakie zachodzą między oboma gatunkami komedyi: „Jedni są to komicy pierwszej klasy, zwracają swą

---

[1]) Herm. Schlag: Das Drama, str. 229, 30.
[2]) Wiad. do antrop., t. III. Pieśń 112.
[3]) Wiad. do antrop., t. V. (9).
[4]) Das Drama, str. 230.

uwagę w pierwszej linii na grę, jaka odbywa się w duszy ludzkiej, na dziwną walkę, między czynami rozumnymi, a chimerycznymi. między silną wolą, a słabością niejasnych instynktów, samopoznaniem i ślepotą, na sprzeczności humoru itd., czyli jednem słowem: wywodzą oni całą akcyę z charakterów; inni zajmują się bardziej matematycznem splątaniem intrygi, powikłaniem walki między sprytniejszym i rozumniejszym, a naiwnym, lub głupim, czyli krótko: za sprężynę swej akcyi biorą oni głównie intrygę".

Komedya charakteru zawiera w sobie wyższą formę komizmu. Cała głębia duszy ludzkiej dochodzi tu do wypowiedzenia, twórca musi być w tym razie świetnym psychologiem i obserwatorem. Nic więc dziwnego, że w twórczości ludzkiej panuje niemal wyłącznie komedya intrygi. Drobny tylko ślad znajdziemy rysowania charakterów, ale i te charaktery nie będą w ścisłem znaczeniu indywiduami, lecz typami.

Rzecz też bardzo charakterystyczna dla komedyi ludowej, iż w formie zawiązania intrygi. posługuje się ona niemal wyłącznie prymitywną formą: naśladownictwa, pewnego rodzaju metamorfozy zewnętrznej.

Naśladowanie jest to — wedle Lippsa[1]) — wybór cech pewnej osoby, jej właściwości, sposobów mówienia, działania, poruszania się, z całego kompleksu tych, które do osoby tej należą i mają tu swoje znaczenie.

Przytem są zazwyczaj naśladowane pewne właściwości danej osoby. Są to właściwości, w których tkwi niejako cała osobowość tej istoty, teraz w drodze naśladownictwa przechodzą one na inną osobę. Zatem ukazują się jako odłączone od osoby właściwej. Równocześnie jednak temu, który obserwuje naśladownictwo, nie wydaje się wcale, by te cechy naśladowane były własnością faktyczną naśladującego. Następuje zatem pewnego rodzaju izolacya tych właściwości i cech, wiszą, one niejako w powietrzu. A mimoto poznaje się w nich zawsze owe właściwości danej osoby.

Otóż pewne właściwości, uchodzące za cechy danej osoby, mają swój sens; tracą go, w oderwaniu od tej osoby. Jako właściwości tej osoby, są wyrazem jej istoty; gdy są przedmiotem naśladownictwa, tracą ten wyraz: pełna przedtem wartość staje się tylko próżną formą: rozpływa się w nicość. Oto podstawa komizmu w tym razie.

---

[1]) Komik und Humor, str 39. i n.

Jest rzeczą jasną, że komiczne działanie naśladownictwa musi być tem większe. im bardziej cała istota danej osoby wyraża się w naśladowanych właściwościach, im bardziej charakterystycznemi są te właściwości dla tej osoby, a z drugiej strony, im mniej te właściwości zgadzają się z charakterem osoby udającej, im mniej zatem mogą być wzięte za właściwości tej osoby[1]).

§ 30. Ten moment naśladownictwa pojawia się w naszej komedyi ludowej. albo: *a)* samoistnie, jako jedyna forma intrygi w temacie komicznym, lub też: *b)* występuje w splocie z motywem erotycznym, który znów przejawia się najczęściej w postaci częstego w farsie średniowiecznej wątku żon wiarołomnych, zdradzających mężów z kochankami, w czem tkwi zawiązek intrygi.

a) Omówimy naprzód pierwszą grupę osnów, w których właśnie ów motyw naśladownictwa, pewnego rodzaju metamorfozy zewnętrznej występuje w czystej formie. Zastrzedz się musimy u wstępu, iż będziemy podawali treści poszczególnych osnów komicznych, bo jakkolwiek jest to do pewnego stopnia balastem pracy, jednakowoż ma to swą wartość, czy dla następnych badaczy, czy dla etnografów, którzy w przytoczonych tematach będą się doszukiwać źródeł obcych, pokrewnych, i w ten sposób będą w stanie pracę naszą uzupełnić pod niejednym względem.

W opowieści p. t. „Pożyczony grosz“[2]) spotykamy następującą osnowę komedyi: Sąsiad, nie mogąc oddać sąsiadowi w terminie pieniędzy, udał, że umarł. Położył się na desce, a żona przykryła go prześcieradłem. Wierzyciel przyszedł po odbiór długu, a dowiedziawszy się, że dłużnik umarł. ofiaruje się, że mu nogi obmyje. Każe zatem gotować wodę, a gdy wkładał nogi pozornego nieboszczyka do ukropu, ten zerwał się i obiecał oddać dług za sześć tygodni. Gdy upłynął termin, dłużnik, nie mając pieniędzy do oddania, kazał się włożyć do trumny i pogrzebać. Ale tak, by w mogile był otwór do oddychania. Wierzyciel, dowiedziawszy się, że dłużnik już pogrzebany, poszedł na jego grób i począł nogami deptać ziemię, wtedy pogrzebany z obawy, by mu otworu do oddechania nie zadeptał, począł krzyczeć i obiecał oddać dług za trzy tygodnie. Po trzech tygodniach kazał się w trumnie położyć w kościele. Wierzyciel, nie ufając mu i tym razem, skrył się za ołtarz i czekał, czy ten nie wstanie. O północy przyszli zbójcy i zaczęli się dzielić worem złota. A gdy nie mogli się po-

[1]) Lipps, l. c., str. 39 i n.
[2]) Wiad. do antrop., t. II. Klechdy (11).

godzić w podziele, krzyknął herszt, iż ten dostanie czapkę złota, kto trupa szablą przetnie. Już zamierzył się jeden szablą, gdy nieboszczyk zezwał się z krzykiem z trumny, a zbójcy w strachu uciekli, zostawiając złoto, którem się teraz sąsiedzi podzielili.

Mamy tu grę komiczną, w której przeciwnik usiłuje wyprowadzić w pole przeciwnika. Następuje też pomieszanie komizmu subjektywnego z objektywnym. Na tle podstępu przybiera dłużnik na się trzykrotnie postać nieboszczyka, naśladując w ciszy, a skupieniu nieruchomość umarłego. Dwukrotnie udaje się przeciwnikowi pokonać go fortelem, za trzecim razem szczęśliwy przypadek czyni z obu sąsiadów ludzi bogatych, a sam ten niespodziewany wynik usiłowań dłużnika uniknięcia zapłaty długu wywołuje ostatecznie wesołą katharsis komizmu.

Staje się tedy zadość w tej osnowie komicznej dwom postulatom komedyi, stawianym przez estetyków komedyi, a mianowicie: *a)* szczęśliwe zakończenie całości, tudzież *b)* przewaga w charakterach stron sympatycznych[1]).

Szczęśliwy przypadek, który kazał złodziejom dzielić się właśnie skarbem u stóp pozornego nieboszczyka, jest tem pogodnem, a wesołem zakończeniem całości, a postać nieszczęsnego dłużnika, który nie może uciec przed ścigającym go wierzycielem, obudza w nas bezsprzecznie sporą dozę sympatyi.

Przypatrzmy się teraz innym osnowom, o ile w nich także zaznaczają się te typowe znamiona metamorfozy wewnętrznej.

W jednej z gadek ludowych, spotykamy opowiadanie o matce, która ma dwie córki. Brzydszą i pracowitą, i młodszą, ładną, lecz wielkiego próżniaka. Sąsiad, przystojny chłopiec, chciał pojąć za żonę ładniejszą, ale matka odradzała mu, a natomiast zachęcała go do żeniaczki z brzydszą, a pracowitą. Wtedy to ładna, ponieważ jej się chłopiec podobał, w noc okrywszy się prześcieradłem, jawiła się chłopcu i radziła mu wziąć sobie za żonę ładniejszą córkę. Ten sądząc, że to duch jakiś tak mu radzi, tak też uczynił[2]).

Ten motyw naśladowania i przemiany w jakąś istotę niezwykłą, ujrzymy w następnych także osnowach. Oto trzech braci pozostało w domu. Jeden spostrzegł, że zbliża się dziad-żebrak, umyślili go więc nastraszyć. Posłano słomę na ziemi i jeden jako umarły położył się na nią. Dziad przychodzi i dowiaduje się, że tu ktoś umarł. Prosi o jałmużnę, a tymczasem, klęknąwszy, począł

[1]) Hermann Schlag, l. c., str. 232.
[2]) Wiad. do antrop., XVII. Gadki (2).

się modlić nad umarłym. Tymczasem tamci wyszli, a pozorny nieboszczyk powstał i zaczął bić dziada. Ten z przestrachu niedługo umarł[1]).

Tego fortelu przemiany i naśladownictwa, używają w innej osnowie trzej złodzieje, chcąc okraść bogatego młynarza. Postanowili więc udać Chrystusa i dwóch apostołów. Naprzód ukradli ryby, korzenie i wino, a gdy przyszli pod dom młynarza, poukrywali te przedmioty. Weszli potem do chaty młynarza i tu najstarszy począł niby robić cuda, a przed zdziwionym młynarzem stanęło wnet wino, za chwilę nowy cud stworzył ryby, a nawet znalazły się korzenie do przyprawy. Wtedy młynarz uwierzył, że to osoby święte, a gdy się weselili i ucztowali, ofiarował się mniemany Chrystus, że młynarzowi dom i cały dobytek poświęci; dlatego kazał wszystkie przedmioty dobytku, kosztowności i pieniądze zebrać w koryto i swoim apostołom polecił obnieść to koryto trzy razy dokoła młyna. Tymczasem oni zsypali cały dobytek w wory, a za chwilę wszyscy zniknęli[2]).

Sprytną znów odmianą fortelu, polegającego na tem, iż osoba działająca udaje, że nie istnieje w danym wypadku, a korzystając z ślepoty swych przeciwników, wyprawia im różne figle, spotykamy w innej osnowie komicznej.

Pewien ladaco znalazł dwa dukaty, a przedtem powiedział sobie, że gdyby je znalazł, podzieliłby się z pierwszym ubogim, którego spotka. Ujrzawszy przeto na ulicy ślepca-żebraka, dał mu jednego dukata. Lecz ten pomacawszy, zaczął się skarżyć, że dukat oberżnięty; wtedy tamten dał mu drugiego, ale gdy upomniał się o zwrot pierwszego, dziad zaprzeczył, jakoby go dostał. Nie pomogły krzyki, w przechodniach znalazł żebrak obrońców, tamtemu nie pozostawało nic innego, jak czekać. Pod wieczór szedł dziad do swej chaty, gdzie mu żona zastawiła wieczerzę, a sama szła na nocną hulankę. Ów ladaco wlazł za dziadem do chaty. Gdy tamten jadł pierogi, ten mu też pomagał, bez tamtego wiedzy, podobnie było z kurczętami. Po wieczerzy dziad rozparł się na tapczanie i syt, a wesoły głośno sobie liczył, że ma już sto jeden czerwieńców z tymi dwoma i podrzucał kieskę z radości w górę. Wtedy ładaco mu ją chwycił i schował się pod przypieckiem. Dziad zły, daremnie po omacku szuka kieski, woła więc

---

[1]) Materyały do antropologii, t. VI., str. 317.

[2]) Kolberg: Lud. Serya VIII. (77).

sąsiada-ślepca i prosi go, by razem szukali złodzieja. Tamten staje w drzwiach, a ten po chacie kociubą wywija; lecz ladaco, jako widzący, umykał z pod razów. Wreszcie ów przybyły dziad zaczął drwić ze ślepca, że się dał okraść. „Czemu ja — powiada — nie dam się okraść. Bo pomieniałem dukaty na banknoty, związałem węzełek i na głowie noszę. Wszyscy myślą, że to szmata tylko, a to pieniądze“. A tamten dziad mówi: „A pokaż mi“. Ledwie ten zdjął węzełek z głowy, ów ladaco porwał mu go i znów się schował. „Pokaż-że — woła tamten. — „Czyż ci nie pokazałem, oddaj już“ — wrzeszczy drugi. — Tu zaczynają się kłócić, a ladaco, chwyciwszy obu za torby, rzucił ich za siebie, że poczęli się targać za brody i bić, a wtedy sam uciekł z chaty[1]).

W całej tej farsie o motywach dziadowskich, modnych w komedyi XVI w., mamy typowe znamiona gry przeciwników, gdzie podstęp i przypadek odgrywają główną rolę. Zachłanna chciwość dziada-ślepca zostaje ukarana, podobnie jak chełpliwość drugiego ślepca. Wyszydzoną jest przytem starcza skłonność delektowania się brzękiem złotych monet i sknerstwa w ciułaniu dukatów. Postać ladaca w innym momencie, może niemiła przez to oszukiwanie dwu ślepców-starców, przy tem zestawieniu wad obu żebraków wydaje się nam sympatyczniejszą, a jej fortel w odzyskaniu własnych dukatów obudza uczucie komizmu, jako radość z udanej próby wyprowadzenia przeciwników w pole.

§ 31. Spójrzmy teraz, jak ów motyw intrygi, polegający na metamorfozie zewnętrznej o naśladownictwo opartej, dochodzi w rezultacie do komedyi p r z e m i a n y, polegającej na tem, iż bohatera najczęściej w stanie nieświadomym, zwykle pod wpływem pijaństwa, inni ludzie przedzierżgają w jakąś postać zapomocą zmiany jego sukień, tak, że bohater, w którego wmawiają, iż jest tą, lub ową postacią, poczyna sam w to wierzyć, a ostatecznie rzecz cała się kończy na rozwianiu iluzyi.

Oto chłop na jarmarku sprzedał wołu, a za pieniądze się upił, choć resztę miał w kieszeni. Gdy leżał pijany w rowie, nadszedł wydalony kleryk w sutannie, a ujrzawszy, że chłop ma w kieszeni pieniądze, zdjął z niego ubranie, a wdział nań swoje. Gdy się chłop budzi, nie wie, czy jest księdzem, czy chłopem Kacprem. Aby się przekonać o tem, idzie do żony, do chaty, lecz tu psy go niepoznają, a żona całuje go w rękę i prosi, by jej poświęcił chatę. On z książki, znalezionej w kieszeni sutanny, po-

---

[1]) Kolberg: Wołyń, str. 432 (XIII).

szeptał modlitwy i wyszedł z chałupy. A miał być właśnie odpust we wsi. Poszedł więc i on na odpust, a tam kazali mu powiedzieć inni księża kazanie. Zatem chłop wyszedł na ambonę i począł pleść androny, że jeśli chłopi nie będą na pańskiem robić, to będzie się z nich skórę drzeć itd. Wtedy ściągnięto go z ambony, wywiedziono na cmentarz, a gdy się przekonano, że pod sutanną ma on chłopskie spodnie, zbito go rzetelnie. Poszedł chłop tedy do chałupy, a tu żona go jeszcze sprała za to, że pieniądze za wołu stracił.[1])

Pokrewny wielce motyw spotykamy w innej opowieści ludowej o pewnym mnichu, co stał się wielkim pijakiem i zapijał się z gospodarzem Wojtkiem. Raz ksiądz podpity zdjął z siebie sutannę, a zwlókł z Wojtka jego ubranie i pomieniali się. Później Wojtek wyświadczył usługę pewnemu panu i przy pomocy organisty otrzymał probostwo. Dobrze mu się wiodło, aż oto wypadł odpust we wsi, a ponieważ Wojtek nie umiał mszy odprawiać, organista nauczył go ewangelii. Najgorzej było z kazaniem. Tu umówił się pozorny proboszcz z organistą, że ten oderwie kazalnicę, by tylko lekko trzymała się ściany, a po odczytaniu ewangelii Wojtek wejdzie na ambonę i uderzy w kazalnicę, by ta upadła. Tak się też stało. Gdy niedoszły kaznodzieja spadł wraz z amboną na ziemię, potłuczonego odniesiono do domu, a księża sami odpust skończyli.[2])

Ten ludowy wątek przemiany komicznej jest dość dawny, skoro już w XVII. w. na podobnym motywie przemiany chłopa w króla osnuł Piotr Baryka swe intermedyum: „Z chłopa król". Ponieważ wątek tego intermedyum spotykamy także w twórczości ludowej w waryantach[3]), dlatego podamy krótko jego treść, dla wykazania, jak bardzo jest zbliżony w pomyśle do powyżej omówionych osnów komicznych.

Baryka przedstawia Sołtysa, który przybył do obozu i trochę sobie podchmieliwszy, zasnął. Wchodzi Rotmistrz z towarzystwem i wśród wesołej zabawy postanawia przebrać Sołtysa za króla. W akcie drugim Sołtys się budzi i zdaje mu się, że jest w kościele, albo na jarmarku, że jego krzesło jest konfesyonałem, a strój ornatem. Wreszcie przychodzi do przekonania, że jest królem i decyduje się zwołać dworzan i zasiąść do bankietu. Zja-

---

[1]) St. Ciszewski: Krakowiacy, t. I., str. 218.
[2]) Materyały do antrop., t. VI., str. 137.
[3]) Lud, t. X., str. 343.

wiają się dworzanie, to naturalnie przebrani żołnierze, kanclerz — to rotmistrz. Bankiet wesoły, potem odbywają się audyencye: poseł Zaporozki przynosi powitanie od kozaków i składa podarunki. Niestety wśród darów kozackich znajdowała się i baryłka wódki, która królowi przypadła zbytecznie do smaku i koniec jego panowaniu położyła. Akt trzeci odbywa się nazajutrz. Sołtys się budzi i widzi, że już nie jest królem. Żal mu rozkoszy wczorajszego panowania. Daremnie woła na dworzan, a gdy się jawią, nie uznają go już za króla. Aż chłop znajduje się poza obozem, i żali się, że pobratał się z żołnierzami i późno do domu wróci[1]).

Jak widzimy, sposób zawiązania całej intrygi przemiany jest w podanych osnowach komicznych, zwłaszcza w pierwszej niemal identyczny. Rzecz ciekawa, że jak wykazuje prof. Windakiewicz, intermedyum Baryki ma początek anegdotyczny, bo, jak sam autor podaje, „argument podobny znajduje się w „Facecyach polskich“ (1624), zresztą anegdotę tę przytacza już Wereszczyński („Goniec pewny“), autor znów przeróbki dla teatru jezuickiego cytuje jako swe źródło. „Utopię Patris Jacobi Bidermani“. Rkp. Jag. 182, K. 377[2]).

Przytem wszystkiem jednak — wedle Windakiewicza — przedostało się to intermedyum na scenę polską z teatru angielskiego, dzięki pośrednictwu trup komedyantów angielskich, które bawiły w Polsce w latach 1616, 1628 i później. U Shakespeara intermedyum to stanowi *accessus* do „Poskromienia złośnicy“ i wyobraża feudalnego dziedzica angielskiego, który w powrocie z polowania spotkał biednego rzemieślnika Szlaja w stanie niepoczytalnym i przyniósłszy go na swój zamek, przebrał dla zabawy za lorda.

Na motywie komedyi „Z chłopa król“ widzimy, jakim odległym procesom wpływów i oddziaływań obcych wątków zawdzięczamy istnienie u nas pewnych pomysłów dramatycznych. Rzeczą etnografów jest zbadać, o ile i wszystkie te osnowy na przemianie polegające, mają swój zawiązek w dawnych tych „argumentach“, z zagranicy pochodnych. Przypuścić można, że intermedyum Baryki, które cieszyło się niesłychaną popularnością w Polsce, doszło bezpośrednio lub pośrednio do ludu i w pewnych modyfikacyach występuje po dziś dzień w twórczości ludowej.

---

[1]) Treść podajemy za St. Windakiewiczem: Teatr ludowy, str. 203 i n.

[2]) Windakiewicz, l. c., str. 203 i n.

Przykład tej udramatyzowanej osnowy komicznej, której prozaiczną formę spotykamy jeszcze w cytowanym waryancie w poezyi ludowej, świadczy zarazem, jak tkwiący w podanych przez nas osnowach żywioł dramatyczny, łatwo przechodzi w formy sceniczne, ponieważ są to właściwie opowiadane prozą akty komedyi, iż dramaturg, biorąc tkwiące w tych osnowach idee dramatyczne, w zarysach już nakreślone, poddaje je tylko prawom techniki dramatu, przekształca je i rozszerza, czyli przetwarzając surowy materyał w sposób artystyczny wedle jednolitej idei — idealizuje go, doprowadza do formy scenicznej dramatu[1]).

---

[1]) Por. Schlag, l. c., str. 419. Freytag: Technik des Dramas, str. 17.

Dr. Adam Brzeg-Piskozub.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika literacka.

MIECZYSŁAW SMOLARSKI: Studya nad Wolterem w Polsce. Lwów. Nakładem Towarzystwa dla popierania nauki polskiej. 1918. Str. 221.

Przemian i rozwoju literatury polskiej nie zrozumiemy dokładnie tak długo, dokąd nie będziemy mieli wyczerpujących opracowań różnych epok naszego piśmiennictwa na tle literatury ogólnoeuropejskiej. Ponieważ zaś nie jest rzeczą łatwą ogarnąć całość pewnej epoki i jej związek z naszą twórczością, więc pod tym względem oddawna już obrano właściwą metodę i przystąpiono do ujęcia tych wzajemnych wpływów w formie monografii o oddziaływaniu poszczególnych wybitnych twórców na daną literaturę. Tak powstały i ciągle powstają liczne studya porównawcze na temat np. Dante a Francya, Byron a Francya, Schiller a Francya i t. d. W literaturze polskiej długi czas zupełnie ich brakło, oczywiście z wyjątkiem doskonałego studyum prof. Zdziechowskiego, o związku byronizmu z naszą twórczością poetycką. W ostatnich czasach i takie studya jednak poczęły się coraz częściej pojawiać, a w tym kierunku szczególnie żywą działalność rozwinął Maryan Szyjkowski, który dał opracowanie wpływów Ossyana, Schillera, Rousseau'a i Gessnera na literaturę polską. Obecnie dorobek nasz na tem polu pomnaża się o bardzo ważną nową książkę, a mianowicie: Mieczysława Smolarskiego: Studya nad Wolterem w Polsce.

W drugiej połowie XVIII. wieku i w początkach XIX. wieku wpływ Woltera był dość silny. Przyjmowano wielkiego twórcę zarówno jako myśliciela, jak i jego sztukę. Miał bezwzględnych wiel-

bicieli zarówno jak przeciwników. Dlatego dzieje zdań o nim w Polsce nie należą do rzeczy jednostajnych, zmienia się to niejednokrotnie, a stanowi zarazem pewną linię, której odchylenia świadczą o przesuwaniu się upodobań naszego społeczeństwa od sławy Woltera ku innym nowym hasłom.

Pierwsza wzmianka o Wolterze pojawia się bardzo wcześnie i prawie okolicznościowo z powodu dzieła „L'histoire de Charles XII., roi de Suède“, w którem pochlebnie wspomniano ojca króla Stanisława Augusta. Gdy bowiem w r. 1733 wydał ks. Stanisław Konarski „Rozmowę pewnego ziemianina“, wspomniał w niej także ową historyę Karola XII. Woltera, „zacnego hystoryka, który wszystkich o nim hystoryków przeszedł“. O ile nazwisko to wprowadza do nas po raz pierwszy polityczna propaganda, o tyle wkrótce przenikają również dzieła literackie. W r. 1753 ukazało się pierwsze tłumaczenie „Zairy“, a za niem pójdą wkrótce inne liczne. Wpływy zyskały na sile szczególnie z chwilą wstąpienia na tron Stanisława Augusta, który Woltera niezmiernie cenił i nawet do Warszawy zapraszał. Równomiernie z zachwytami zaczynają się także sprzeciwy. Konarski w głośnej rozprawie: „O religii poczciwych ludzi“ wystąpił przeciw niemu, jako przedstawicielowi szkoły deistycznej. Ale przez to wpływu Woltera nie zdołał już zatrzymać. Coraz częstsze wzmianki spotyka się w pismach wówczas wychodzących, ale już wówczas zdrowy polski sarmatyzm i teologowie prawowierni podnosili przeciw wpływowi i sławie tej gwiazdy cudzoziemskiej protesty. Szczególnie lata po śmierci fernejskiego filozofa od 1778 do 1782 roku były latami żywej polemiki wolterowskiej, które miały to znaczenie, że oświetliły Woltera i skrystalizowały zarzuty jego przeciwników. Sformułowały treść zarzutów i obudziły czujność religijną. Uznawały talent Woltera, ale potępiały go jako moralistę. Poeci nasi XVIII. w. wyrażali nieraz sami zdanie o Wolterze i zapatrywania te w rozwoju chronologicznym zestawia Smolarski bardzo pilnie.

W epoce sejmu czteroletniego i jego pism politycznych znaczenie Woltera słabnie, a Rousseau przychodzi do większego rozgłosu. Nadchodzi wreszcie nowy okres z wiekiem XIX., kiedy to sława Woltera działa już więcej jednostajnie i zdala, choć sama przechodziła różne koleje; wpływ jego gaśnie, ale nie bez powstawania nowych idei na tem samem tle. Nazwisko Woltera potępiano w tej epoce już niekiedy nawet tam, gdzie dziedziczono jego poglądy, jak np. w wileńskiem „Towarzystwie szubrawców“. Zasadniczo jednak wpływ ten niknie z romantyzmem, który wyrwał

nas z suchych obliczeń życia i kazał nowych szukać form w natchnieniu. Ale mimo to jeszcze w r. 1827 w polemice o „Zairę“ powagi Woltera jako dramaturga nie mógł obalić nawet tak cięty „chorąży romantyzmu“, jak Mochnacki. Całkowity wyraz zapatrywaniu się na niego romantyzmu dał dopiero Mickiewicz, który, choć prawie od tłumaczeń wolterowskich zaczynał swój zawód poetycki, to jednak w kursach literatury słowiańskiej bezwzględnie potępił Woltera za jego szyderstwa z religii, moralności, odzieranie przez niego przeszłości z czaru, jaki nadała jej poezya i haniebne stanowisko wielkiego apostoła humanitarności wobec rozbioru Polski. Na tem skończyła się rola Woltera w Polsce, później poprzestano już tylko na artykułach przy okazyi rocznic lub krótkich okolicznościowych wzmiankach.

Wpływy Woltera na literaturę polską zaznaczyły się przedewszystkiem silnie w teatrze. Dowodzą tego bardzo częste przedstawienia sztuk Woltera i liczne przekłady. Był czas, kiedy twórcę „Zairy“ zaliczano w Polsce obok Corneille'a, Racine'a i Moliere'a do najprzedniejszych dramaturgów. Tragedye Woltera, mniej komedye, działały u nas najsilniej za życia jeszcze ich autora jako „sztuka nowa“ od połowy do końca wieku XVIII. Rzecz znamienna, że Woltera wprowadzili na naszą scenę i kult jego sztuk szerzyli przez czas dłuższy Pijarzy. Zrazu bowiem uważano go tylko za głośnego i świetnego autora, a dopiero później w miarę dalszych tłumaczeń poczęło duchowieństwo przeciw niemu występować. Sztuki fernejskiego filozofa poczęły wstępować w życie naszej sceny koło 1750 roku i stanowiły stały repertuar młodzi szlacheckiej. Najczęściej przedstawiano i tłumaczono „Alzyrę“. Po roku 1831 zaniedbano je razem z całym dawnym teatrem klasycznym. Wogóle zaś wiek XVIII. i XIX. pozostawił nam dwadzieścia siedm wydanych drukiem przekładów dwunastu wybranych sztuk Woltera. Ten szereg tłumaczeń i wystawień musiał na literaturze naszej zaważyć. Lecz jak na te sztuki patrzono, dowodzi jakość wpływów. Dramaty Woltera nie zaciążyły na nas społecznie, wpływy ich objawiały się formalnie, najczęściej w pewnych rysach estetycznych.

Wpływy na twórczość polską dadzą się stwierdzić w wielu wypadkach zupełnie wyraźnie. O ile nie ma bezpośredniego odbicia w komedyach Bohomolca, o tyle można przytoczyć dość innych przykładów tych wpływów. Ks. Michniewski przerobił w r. 1775 komedyę Woltera „Nanine“ p. t. „Teressa albo tryumf cnoty“. Wojciech Bogusławski w r. 1797 napisał pod wpływem „Alzyry“

melodramat dla teatru lwowskiego p. t. „Izkahar“. Także J. U. Niemcewiczowi Wolter był dobrze znany. W odegranym w roku 1791 „Powrocie posła“ pojawia się postać Szarmanckiego, która się zachowuje zupełnie tak samo, jak Damis w komedyi „L' Indiscret“. Podobne analogie dostrzegamy w tragedyach „Zbigniew“ i „Władysław pod Warną“. Szczególnie w tej ostatniej sztuce przypominają się nam „Eryfile“, „Orestes“ i „Semiramis“. Ostatni wreszcie dramat Niemcewicza „Kiejstut“, pisany w r. 1820, obok pokrewieństwa z „Wandą“ Euzebiusza Słowackiego, bierze od Woltera pewne wyrażenia i pewne deistyczne przedstawienie litewskich kapłanów, choć idea bynajmniej nie wolteryańska. Tragedye Euzebiusza Słowackiego „Wanda“ i „Mindowe“, od wpływów tych obcych bardziej zależne, nie osiągnęły nigdy rozgłosu, jeden tylko „Edyp“ Humnickiego był wyraźnem naśladowaniem zaczerpniętego z Woltera i Sofoklesa starożytnego tematu, zdobył mimo to powodzenie na scenie i wywołał długą choć nieco stronniczą recenzyę Dmochowskiego. Również jeśli nie od wolteryanizmu wprost, to przynajmniej od wpływów w nim swój początek czerpiących zależy pięcioaktowy dramat historyczny J. N. Kamieńskiego p. t. „Wielka inkwizycya czyli Polacy w Hiszpanii“, który pojawił się na scenie lwowskiej w r. 1820 i powracał na nią aż do r. 1835. W tych czasach twórczość Woltera poznał także Aleksander Fredro i uległ pośrednio tak powszechnym wpływom pośrednio w budowie kilku komedyi. Możemy to np. zauważyć przy zestawieniu „Pana Jowialskiego“ z jedną mniej znaną komedyą Woltera p. t. „Les originaux“. W podobnym stosunku pozostaje jedna z wielkich komedyi Fredry „Dożywocie“ i tłumaczony przez Trembeckiego: „L' enfant prodigue“. Cały temat zaczerpnął natomiast autor „Zemsty“ w swej „Wychowance“ z komedyi Woltera „Nanine“. Wreszcie zasadniczy rys tak miłej i wesołej komedyi „Dwie blizny“ w bardzo dalekim wzorze można znaleźć w sztuce Woltera p. t. „L' Échange“. O ile przyjmował Fredro niektóre pomysły wolteryańskie, o tyle zachowywał się zupełnie negatywnie wobec zasadniczych idei autora „Alzyry“. Zupełnie odmienny był pogląd na świat żółciowego i pesymistycznego francuskiego autora, a pogodnego, dobrodusznego i umiejącego się zawsze odezwać dźwięcznym akordem wesołości Fredry.

Równie znaczne były wpływy Woltera na liryczną i epiczną poezyę polską. Wyraża się to najpierw w przekładach. Zrazu nieliczne dopiero po r. 1774 stają się coraz częstsze; tłumaczą Woltera Antoni Nagłowski, Kajetan Węgierski, Stanisław Staszic, Ja-

cek Przybylski, Stefan Chomentowski, ksiądz J. K. Chodani i Euzebiusz Słowacki. Obok tłumaczeń Wolter oddziaływa zupełnie wyraźnie na poezyę polską za czasów Stanisława Augusta. Pierwszy uległ temu Naruszewicz, który przecie pierwszy zastosował wolterowski krytycyzm do historyi naszych dziejów. Zresztą jednak w pismach swych obcym był filozofii deistycznej, a przyjął natomiast poglądy Woltera i wieku oświeconego na króla, władzę, znaczenie nauk i humanitarności. Natomiast rozdziela Naruszewicza od Woltera np. wiersz; u pierwszego najczęściej ciężki, nienaturalny, patetyczny, u drugiego trzeźwy, żywy, dowcipny i lekki. Wolter wyjątkowo tylko interesował się przyrodą — Naruszewicz uciekał się do porównań z przyrody, chłodnych, wynikających z naśladowania, ale tak częstych, iż z odami mieszały się sielanki. Więcej do poezyi autora „Dykcyonarza filozoficznego“ zbliżała się poezya Trembeckiego. Wolteryańskie w tendencyi pisał niekiedy bajki Nagłowski. Świat ściśle wolterowski przedstawia twórczość Kajetana Węgierskiego, który był najwybitniejszym wolteryaninem z talentem w naszej literaturze, ale treść jego duszy była z nielicznymi wyjątkami cudzoziemska.

Ludwik Osiński w „Wykładach literatury porównawczej“ przypominał, że Fryderyk II. umieścił niegdyś księcia biskupa warmińskiego w Sans-Souci w pokojach, które dawniej Wolter zajmował i sądził, że jego namowa wpłynęła na powstanie „Monachomachii“. Wpływ fernejskiego filozofa jednak, częściowo ideowy, a w części formalny, pozostawił także ślad na kilku innych dziełach Ignacego Krasickiego, jak „Doświadczyński“. „Historya na dwie księgi podzielona“, „Myszeis“ i „Wojna chocimska“. Również i w drobniejszych poetycznych utworach Krasickiego pojawiają się przebłyski, które dowodzą żywego oczytania się w Wolterze, pamięci jego dzieł i przejęcia się ideami jego trzeźwości historycznej, wystąpienia przeciw baśniom i przesądom dziejowym, a pochwały władcy oświeconego. W całym szeregu utworów z ostatnich dziesiątków XVIII. wieku i pierwszego dziesiątku wieku następnego zaznaczyły się silne wpływy Woltera. Były to księdza Muśnickiego: „Pułtawa“, utwory Marcina Molskiego, poemat „Sprzeczki“ gen. Jasińskiego, zdania o Wolterze w utworach wierszowanych Zabłockiego i Ludwika Osińskiego, wreszcie pułkownika Cypryana Godebskiego „Wiersz do legii“.

Pod wpływem „Henryady“ i „Eneidy“ powstała Tomaszewskiego „Jagiellonida czyli zjednoczenie Litwy z Polską“, a filozofia fernejskiego patryarchy wyraziła się w poglądach St. Staszica

w „Rodzie ludzkim“, wielkiem dziele filozoficzno-dydaktycznem. Podobnie zaś jak czasy Stanisława Augusta, tak i Królestwo kongresowe miało poetę, który przez ogłoszenie szeregu wierszy ulotnych pozyskał sobie opinię polskiego wolteryanina, a był nim Kantorbery Tymowski. W czasach tych także Niemcewicz ulegał tym wpływom, zwłaszcza w zakończeniu poematu „Prometeusz“, pisanym w roku 1826 w Ursynowie. Autor „Jana z Tenczyna“ przełożył także z Woltera powiastkę „Ce qui plait aux dames“ i wpływom jego uległ w kilku wierszowanych opowieściach, jak: „Sułtan i wezyr“, „Olimp i ziemia“ i t. d. Pozatem echa wolterowskie w obfitej twórczości Niemcewicza bardzo słabe.

Jak jednak wpływ Woltera był w owych czasach jeszcze żywy i silny, tego dowodzi fakt, że w r. 1817 na posiedzeniu Towarzystwa filomatów odczytano szereg tłumaczeń i przeróbek z Woltera, a autorem ich był Adam Mickiewicz. Pierwszym utworem odczytanym był „Mieszko, książę Nowogródka“, przeróbka z Woltera „L' éducation d'un prince“. Więcej swawolna w treści była odczytana na posiedzeniu powieść wierszem „Pani Aniela“. Najwybitniejsze jednak dowody wyrabiającego się pióra poety pozostały w dochowanej pieśni V-ej tłumaczenia „Darczanki“ (Jeanne d'Arc) poematu Woltera, znanego pod tytułem „La Pucelle“. Czwartym utworem, zaliczonym zwykle do wpływów autora „Pucelle d'Orleans“ był poemat heroi-komiczny „Kartofla“. Reminiscencye z dzieł wolterowskich pojawiają się jednak w twórczości Mickiewicza dłużej, choć nie zawsze występują dość jasno, a częściej przywodzą na myśl jedynie analogie, np. w „Grażynie“ i drobniejszych wierszach, a trwają dość długo, bo jeszcze w latach 30-ych przypomną się w niektórych strofach „Dziadów“.

Ostatnim natomiast śladem wpływu fernejskiego filozofa na poezyę i zarazem literaturę piękną polską, był wydany w roku 1858 Kajetana Koźmiana „Stefan Czarniecki“, który był też trzeciem i końcowem ogniwem owego wpływu „Henryady“, któremu uległy Krasickiego „Wojna chocimska“ i Tomaszewskiego „Jagiellonida“. Ale dzieło to ostatnie nie miało już tej siły poetycznej, co początkowe odblaski wolterowskiej epopeji.

Natomiast wpływ Woltera w naszej oryginalnej literaturze powieściowej objął zakres stosunkowo niewielki. Obok przekładów, które zaczynają się w r. 1773 najpoczytniejszym z nich „Zadygiem“, parę tylko można wybitnych przykładów przytoczyć. Pomysły Woltera odbijają się wyraźnie w Ignacego Krasickiego „Przypadkach Mikołaja Doświadczyńskiego“ i „Historyi na dwie księgi

podzielonej", zaznaczają się w naśladowanej zresztą z francuskiej powieści „Podolance wychowanej w stanie natury" i „Zdarzyńskim" pióra księdza Krajewskiego, a myśl wielkiego filozofa zaciążyła na tendencyi wydanej w r. 1819 Stanisława Potockiego „Podróży do Ciemnogrodu". Ostatnia ta data nie była bez znaczenia. Dowiodła ona łącznie ze współczesnemi tłumaczeniami Mickiewicza, oraz szeregiem innych szczegółów, że wpływ i kult autora „Henryady" znalazł jeszcze wówczas zwolenników i błysnął silnie ponownie, ostatni raz przed zgaśnięciem.

Niechęć Woltera do Polski i jej tragicznego losu z końcem XVIII. wieku, objaśnia autor zupełnie trafnie tem, że Wolter zupełnie prawie nie miał zrozumienia narodowości, ani też nie pojmował miłości ojczyzny. Nadto objaśnia wiele jego przyjaźń z Fryderykiem II. i uwielbienie dla Katarzyny. Wolter przecie z winy swych wad oddał ducha w służbę za kilka wielkich pochlebstw, łaskę dworu, korespondencyę przyjazną z królem i zastawę z porcelany. To też pod wpływem swych potężnych przyjaciół odnosił się sceptycznie do naszego narodu, nie znając go i nie rozumiejąc, a dając natomiast posłuch potwarzom. Mimo to wpływ jego na naszą literaturę był tak potężny, że w zupełności zasłużył na tak sumienną monografię, jaką jest praca p. Smolarskiego.

Materyał odnośny wyczerpano prawie zupełnie. Można mieć jedynie do autora pretensye o bardziej przejrzystą kompozycyę. Rozdziały, absolutnie za długie, powinny mieć choćby krótkie tytuliki z treścią tych ustępów. Tymczasem treści wogóle nie podano, a w ustępie, w którym zapowiedziano tłumaczenia, mówi się także o oryginalnych utworach powstałych pod wpływem Woltera. Taka przejrzystość wychodzi zawsze książce naukowej na korzyść, bo pozwala mieć dokładny przegląd uzyskanych wyników, a tych w książce p. Smolarskiego istotnie nie brak.

Należałoby też pogłębić sam problem wpływów wolterowskich na literaturę polską. Nie można bowiem poprzestawać na samych tylko zewnętrznych objawach, za jakie należy uważać tłumaczenia, przeróbki i reminiscencye z Woltera, ale trzeba sięgnąć głębiej i uchwycić niejako ducha wielkiego twórcy i myśl jego kulturze owych czasów. Autora usprawiedliwia fakt, że samo opanowanie materyału czysto bibliograficzne jest niemałym trudem, tak, że już brak wprost miejsca i czasu na głębsze uchwycenie całego zagadnienia. Od książki, ujmującej tę — że się tak wyrażę — czysto zewnętrzną stronę oddziałania pewnego twórcy na daną epokę do zupełnej i ostatecznej syntezy, jest krok już niewielki, przeto

i wartość dzieł takich, jak praca M. Smolarskiego, jest istotnie niepoślednia. Przygotowuje bowiem podstawy do wykreślenia tak doniosłych paralel między umysłowością naszą a obcą, a przez to do odkrycia zasadniczych pierwiastków kultury myśli rodzimych.

ANTONI LANGER: Ewolucya uczuć patryotycznych. Rys syntetyczny. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1919.

Książka ma charakter filozoficzno-socyologicznych dociekań. Objaśnia, czem był patryotyzm u ludów starożytnych i zaznacza, że źródeł jego należy tam szukać w pojęciach rodowych i religijnych i w ścisłym związku z posiadaniem terytoryum; przegląd uczucia tego w rozwoju ludzkości dowodzi, że patryotyzm polski ma zupełnie swe odrębne znamiona. Pozbawiony przez tak długie dziesiątki lat oparcia o państwowość własną, ofiarny patryotyzm polski zowie autor trafnie „patryotycznym heroizmem“. Wywody autora, dalekie od pochwał dla szowinizmu, absolutnego egoizmu narodowego i krzykliwego patryotyzmu, nawołują dziś naród cały do czynnego patryotyzmu, do „patryotyzmu pracy“. Książeczka zawiera bardzo wiele cennych uwag pedagogiczno-wychowawczych, dlatego zasługuje na tem większe uznanie.

Adam Fischer.

ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.